MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XI. Nr. 37. WARSZAWA, 2 SIERPNIA 1931 R. CENA NUMERU 80 GR.

WIELKIE FINANSE I POLITYKA

PIENIĄDZ był zawsze czynnikiem politycznym, od czasu wszakże unifikacji gospodarczej świata i za panowania współczesnego kapitalizmu stał się czynnikiem dominującym. Ludzie posiadający pieniądze, a także ci, co są pośrednikami w ich obiegu, zajęli przodujące stanowiska w organizmie gospodarczym świata, a przez to i w jego życiu politycznem.

Dlatego to, kto chce zrozumieć politykę międzynarodową, musi sobie zdawać sprawę z roli, jaką w niej odgrywają wielcy finansiści. To, co nazywamy wielką finansjerą, nie jest jakąś siłą nieosobową, jakiemś pojęciem abstrakcyjnem, jest to określona i znana wtajemniczonym grupa ludzi, którzy stoją na czele wielkich banków, przez nie trzymają w ręku gospodarkę światową, a na skutek tego są potężnym czynnikiem w polityce międzynarodowej. Należą oni do różnych narodowości, są związani z różnemi krajami, ulegają wpływom krwi i związkom z poszczególnemi społecznościami. Jednakowoż są dwa powody, dla których stanowią grupę do pewnego stopnia solidarną i mającą, jeśli nie ściśle określony i sformułowany program polityczny, to wspólne tendencje polityczne. Po pierwsze—i to zawsze jest główne—mają wspólny interes w tem, by gospodarstwo światowe się rozwijało, i to w pewnym ściśle określonym kierunku; po drugie przeważają wśród wielkiej finansjery ludzie pochodzenia żydowskiego, którzy stanowią naturalny element spójności i współdziałania całego świata wielkich finansów. Trudno zaprzeczyć, że pewne właściwości rasy żydowskiej wyciskają silne piętno na sferach kierujących finansami i gospodarstwem światowem, że cały system kapitalistyczny rozwinął się pod przemożnym wpływem żydów.

Narody, i państwa przez nie wytworzone, mają swoją historję, są znane, żyją jawnie, dlatego też są już ustalone poglądy na ich dążenia polityczne, na ich metody działania, na charakter ich życia publicznego. Inaczej się rzeczy mają z wielką finansjerą.

Nie lubi ona i nie szuka rozgłosu; robi raczej wszelkie wysiłki, by ukryć fakt swej solidarności i swego oddziaływania na politykę światową. To też nie czyta się o niej w pismach, nie zna się ludzi ją reprezentujących, nie ma się wiadomości o jej działaniach politycznych. Niemniej przeto każdy, kto śledzi rozwój polityki międzynarodowej, spotyka się wciąż z oddziaływaniem finansjery międzynarodowej. Ma ona niewątpliwie swoją własną politykę.

*

Zasady tej polityki wynikają siłą rzeczy z natury pieniądza i z mechaniki gospodarki kapitalistycznej. Ci, co władają pieniądzem, są równocześnie jego niewolnikami, muszą się poddawać jego wymogom. Stąd wynika, że naczelnym ich celem musi być zysk, a ten jest możliwy tylko wówczas, gdy pieniądz jest w nieustannym ruchu, gdy gospodarstwo światowe jest w pomyślnym stanie. Są to prawdy oczywiste, aż banalne, trzeba je jednak przypominać, gdy się mówi o polityce pieniądza.

Polityka ta różni się od polityki państw, poza któremi stoją narody, tem, że jest z konieczności kosmopolityczna.

W życiu narodu na pierwszem miejscu stoją interesy krwi. W grę wchodzi utrzymanie przy życiu określonej zbiorowości ludzkiej, jej rozwój duchowy, zapewnienie jej wpływu na kształtowanie się stosunków na świecie. Dla interesów duchowych naród często poświęcać musi interesy materjalne; pieniądz, jako miernik i wyraz dóbr materjalnych, jest tylko środkiem, a nie celem samym w sobie. Życie narodu związane jest z krwią, przez ofiarę z krwi utrzymują narody swój byt i zabezpieczają swój rozwój. Jednostki są związane ze zbiorowością licznemi nićmi, z których nie zdają sobie nawet sprawy, działają pod wpływem tradycji życia drugiego łańcucha pokoleń.

Tem wszystkiem nie jest związane, i zarazem ograniczone, złoto i ludzie, którzy niem władają. Pieniądz nie zna granic, nie jest związany z żad-

nym krajem ani z żadnym narodem. Idzie tam, gdzie może przynieść największe zyski, rodzi taką politykę, która służy jego celowi istotnemu. Poszczególne państwa są tylko terenami, na których pracuje i wypełnia swoje zadania. — Dlatego jest kosmopolityczny.

*

Interesy partykularne narodów, barjery celne, konflikty, wynikające z powodów geograficznych i historycznych — to wszystko są rzeczy, których nie lubią władcy pieniądza. Dlatego to gniewa ich stara Europa z jej tradycyjnemi walkami i historycznem współzawodnictwem. Życie gospodarcze może się rozwijać tylko w atmosferze pokoju i spokoju. Dlatego to jest dziś wielka finansjera zwolenniczką pacyfizmu. Jej sposobowi myślenia i jej interesom odpowiadają metody Ligi Narodów, Locarno i wszystko, co z tem związane. Nie ma ona zrozumienia dla dążeń narodów, które się upierają przy swoich „egoistycznych" interesach, przywiązują wagę do pewnego układu terytorjalnego, powołują się na prawa historyczne lub na swe interesy duchowe. To wszystko wytwarza niepomyślne warunki dla swobodnego obiegu pieniądza i dla jego pracy.

*

To wszystko, co powyżej powiedziano, trzeba mieć w pamięci, by zrozumieć stanowisko wielkich finansów wobec konfliktu niemiecko-polskiego nad Bałtykiem. Dla narodów, stanowiących strony w tym konflikcie, wchodzi tu w grę ich przeszłość dziejowa, ich misje historyczne, całe ich życie duchowe i najwyższe interesy życiowe. Dla wielkiej finansjery to wszystko nie istnieje; dla niej jest tylko powikłanie, które mąci spokój świata, które w razie zaostrzenia grozi konfliktem zbrojnym...

Powinno być tedy usunięte — w imię pokoju, w imię stworzenia warunków gospodarczego rozwoju Europy, w imię interesów „ludzkości".

Skoro zaś trzeba już przy tem poświęcić czyjeś interesy, to raczej tego, kto ma mniejsze znaczenie w życiu gospodarczem świata, czyje terytorjum jest mniej ważne z punktu widzenia potrzeb i interesów pieniądza.

Nie trzeba być bardzo głęboko wtajemniczonym w sprawy polityczne Europy i świata całego, by wiedzieć, że wielkie finanse mają zaufanie do Niemiec i że uważają Niemców za jeden z najpoważniejszych czynników w życiu gospodarczem. Mówią chyba coś w tym względzie takie fakty, jak umieszczenie w zwyciężonych i osłabionych Niemczech 6 miljardów marek złotych pożyczek za pośrednictwem banków amerykańskich i angielskich, jak zrodzona na Wallstreet a zainicjowana przez prez. Hoovera akcja ratunkowa dla Niemiec.

*

Wielkie finanse — trzeba o tem wiedzieć i zdawać sobie z tego dokładnie sprawę — są zainteresowane w rozwoju gospodarczym Niemiec i we wzroście ich potęgi politycznej. Są one niewątpliwie potężnym czynnikiem politycznym w życiu państw współczesnych. Nie powinno to jednak nas przerażać, bo równolegle z kryzysem, dotykającym panujący dziś system gospodarczy, idzie rozkład potęgi pieniądza i upadek jego wpływów.

Jest rzeczą wielkiej wagi rozwijanie własnych sił i zasobów gospodarczych; im bardziej rozwinięte i niezależne życie gospodarcze będzie miała Polska, tem bardziej się z nią będą liczyli. Lecz na dziś sprawą najpilniejszą jest posiadanie sił politycznych i takie wygrywanie ich na szachownicy politycznej świata, by ich lekceważyć nie było można.

Krew decyduje dziś o naszem życiu, jest najpewniejszą gwarancją naszej przyszłości. Była zaś ona zawsze i będzie silniejsza, niż złoto.

STANISŁAW KOZICKI

„ANSCHLUSS" PRZED DWUNASTU LATY

PISZĄC w r. 1917, na użytek rządów sprzymierzonych, swe *„Problems of Central and Eastern Europe"*, R. Dmowski z wielką siłą argumentacji, z całą mocą przekonania uzasadniał konieczność likwidacji Monarchji Austrjacko-Węgierskiej. Nie ukrywał jednak poważnej trudności, któraby z takiego rozwiązania wynikła. „Powstaje" — czytamy tam — „jedno wielkie zagadnienie, mianowicie przyszłości niemieckich prowincyj Austrji, tego obszaru, który przylega do Cesarstwa Niemieckiego i posiada zwartą ludność niemiecką, t. j. Dolnej i Górnej Austrji, Salzburga, Tyrolu i północnych części Styrji i Karyntji — przedstawiających sumę ludności 7.300.000. Ten kraj jest niewątpliwie krajem niemieckim, jego mieszkańcy są integralną częścią narodu niemieckiego i—w razie upadku Monarchji Austro-Węgierskiej— żadna siła nie mogłaby przeszkodzić jego połączeniu z państwem narodowem niemieckiem. Żadne inne urządzenie polityczne tego obszaru nie może być trwałe. Przez taką inkorporację Cesarstwo Niemieckie, jakkolwiek zwyciężone, otrzymałoby kompensatę za utratę swych nieniemieckich obszarów: niemieckiej Polski, północnego Szlezwigu oraz Alzacji i Lotaryngji, które byłyby zmuszone zwrócić Polsce, Danji i Francji". Przewidywał więc Dmowski połączenie — w tej lub innej postaci — obszarów zasiedlonych jednolicie przez ludność niemiecką i niemiecko-austrjacką; widział szczególnie ciężkie położenie, w jakiem znalazłyby się wtedy Czechy; ale też proponowane rozwiązanie terytorjalne zagadnienia polskiego zmniejszyłoby znakomicie niebezpieczeństwo tego połączenia dla Europy i dla Czech w szczególności. Polska otrzymałaby cały Śląsk Górny, na Pomorzu granica zostałaby pociągnięta bardziej na zachód, należałby do Polski Gdańsk i części południowa i zachodnia Prus Wschodnich, późniejsze oba obszary plebiscytowe. „Północna część Prus Wschodnich, ta niemiecka placówka, założona przez Zakon Krzyżacki w obcym kraju, musi wobec swego odosobnienia od Niemiec być związana w przyszłości z państwem polskiem. Może ona być albo autonomiczną prowincją tego państwa, albo oddzielną małą republiką, związaną z Polską unją celną, co jedynie może jej zapewnić pomyślność ekonomiczną". Tak więc wbity między Polskę i Czechy klin niemiecki byłby o wiele mniejszy, mniej dokuczliwy i niebezpieczny; wspólna granica polsko-czeska byłaby znacznie dłuższa, granica polsko-niemiecka znacznie krótsza; niemieckiemu parciu na Wschód postawionaby została tama nieprzezwyciężona; podstawa zaczepnej siły Niemiec zostałaby złamana.

Dmowski, jako Polak i jako narodowiec, oceniał siłę dążności do zjednoczenia niemieckiego lepiej, niż kierownicy polityki mocarstw sprzymierzonych. Wiedział, że gdy zabraknie Habsburgów i Hohenzollernów, usunięta zostanie może najwalniejsza dla tych dążności przeszkoda, gdy tam liczono na odmienne tradycje państwowe Austrji i Niemiec, na przeciwieństwo katolickiej, w duszy zachowawczej Austrji i przeważnie protestanckich, socjalnodemokratycznych Niemiec; na sprzeczności interesów gospodarczych; może nawet na antagonizm Wiednia i Berlina... Przytem nie chciano Polski zbyt silnej; może raczej stawiano na Czechosłowację, z perspektywami jakiejś konfederacji naddunajskiej. Dość, że zagadnienie polsko-niemieckie rozwiązano połowicznie, pozostawiając Niemcom na Wschodzie wielkie pokusy i znaczne możliwości. Czechosłowację obdarzono ziemią polską. A jako zaporę na drodze zjednoczenia Niemców z Rzeszy *(Reichsdeutsche)* i Niemców austrjackich *(Deutsch österreicher)* postawiono... dwa artykuły traktatów, podpisanych w Wersalu (art. 80) i w St-Germain-en-Laye (art. 88), które brzmią:

„Niemcy uznają i będą skrupulatnie szanowały niepodległość Austrji w granicach, jakie jej będą wyznaczone w traktacie między tem Państwem a Głównemi Mocarstwami Sprzymierzonemi i Stowarzyszonemi; Niemcy uznają, że ta niepodległość będzie niepozbywalna inaczej, jak za zgodą Rady Ligi Narodów".

„Niepodległość Austrji jest niepozbywalna inaczej, jak za zgodą Rady Ligi Narodów. Wobec tego Austrja zobowiązuje się powstrzymać — chyba, że uzyska zgodę rzeczonej Rady — od wszelkiego działania, mogącego narazić jej niepodległość bezpośrednio, bądź pośrednio jakimkolwiek sposobem, w szczególności, i to aż do chwili przyjęcia do Ligi Narodów, drogą udziału w sprawach jakiegokolwiek innego Mocarstwa".

Jednocześnie wyperswadowano Austrji, że powinna się nazywać krótko: *Österreich*, a nie *Deutschösterreich*, jak stale pisała delegacja austrjacka z socjalistą Rennerem na czele.

W aktach Konferencji pokojowej nie znajduję śladu, by delegacja austrjacka rwała się do traktatowo uświęconej możliwości zjednoczenia z Niemcami. Ale delegacja niemiecka w swych „Uwagach na warunki pokoju" postanowiła pozostawić furtkę uchyloną. Niemcy — oświadczyła — nie mają zamiaru zmienić granicy niemiecko-austrjackiej siłą *(gewaltsam)*. Ale jeżeli ludność Austro-Węgier, od tysiąca lat najściślej przez swą historję i kulturę złączona z Niemcami, zapragnie znowu złączyć się z niemi w jednem państwie, która to łączność niedawno dopiero przed wojną zerwana została, to Niemcy nie mogą zobowiązać się, że się oprą życzeniu swych braci niemieckich, gdyż prawo stanowienia narodów o sobie winno być uznane także na rzecz Niemców, a nietylko przeciwko Niemcom; inaczej wpadlibyśmy w sprzeczność z zasadami prezydenta Wilsona... I główne mocarstwa sprzymierzone tak były pewne swego, że nie zwróciły nawet uwagi na... niedokładności historyczne, i w swej „Odpowiedzi na Uwagi" krótko przyjęły do wiadomości oświadczenie Niemiec, że nie zamierzają zmienić granicy niemiecko-austrjackiej siłą.

Traktat wersalski został podpisany 28 czerwca 1919 r. Niespełna w półtora miesiąca, bo 11 sierpnia 1919 r. uchwalona została nowa konstytucja niemiecka, która w art. 61, ustalającym skład Rady Związkowej Rzeszy *(Reichsrat)*, stanowiła najspokojniej:

„Austrja niemiecka, po przyłączeniu do Rzeszy Niemieckiej, otrzymuje prawo do udziału w Radzie z liczbą głosów, odpowiednią do liczby jej ludności. Aż do tego czasu przedstawiciele Austrji niemieckiej mają głos doradczy".

Tego było bądź co bądź zawiele. D. 2 września przewodniczący konferencji, Clemenceau, wystosował do delegacji niemieckiej żądanie usunięcia z konstytucji wejmarskiej przytoczonego wyżej ustępu art. 61-go, grożąc rozszerzeniem okupacji prawego brzegu Renu, gdyby żądanie w ciągu dni 15 nie zostało wypełnione.

Nic charakterystyczniejszego nad odpowiedź niemiecką. Przecie zobowiązaliśmy się tylko do tego, że przy użyciu gwałtu nie zmienimy granicy. Ależ tu mowa nie o granicy, lecz o całej Austrji; idzie o możliwość przyłączenia *(Anschluss)*, bez przesądzania, jakim to się stanie sposobem; swobodny udział Austrji w organach państwowych niemieckich nie wiąże jej ani pod względem państwowym, ani międzynarodowym. Żądanie sprzymierzonych jest sprzecznie z niemiecką wykładnią art. 80-go. A przytem w konstytucji wejmarskiej jest artykuł 178, który powinien uspokoić wszelkie obawy: *„Die Bestimmungen des am 28 Juni 1919 in Versailles unterzeichneten Friedensverstrags werden durch die Verfassung nicht berührt"*. Więc?.. Ale... to było przed dwunastu laty. I stary Clemenceau nie lubił, żeby z niego drwiono.

To też odpowiedź była krótka i stanowcza. Ze swym art. 178-ym Niemcy mogłyby w każdem postanowieniu konstytucji naruszać zobowiązania, w traktacie wersalskim zaciągnięte. Nikt nie uwierzy, aby twórcy konstytucji, przyjmując art. 61, nie widzieli, że jest on sprzeczny z uroczystem zobowiązaniem, przed paru zaledwie tygodniami podpisanem. Taki stan rzeczy dłużej trwać nie może, i Niemcy podpiszą deklarację, w której art. 61 uznają za niebyły.

Sprzymierzeni mogli się powołać na inny, zupełnie podobny wypadek. W traktacie wersalskim Niemcy zobowiązały się wydać Sprzymierzonym obywateli swoich, oskarżonych o zgwałcenie prawa międzynarodowego; wnet potem konstytucja niemiecka w art. 112 postanowiła, że żaden obywatel niemiecki nie może być wydany obcemu państwu, aby tam był sądzony. Istotnie mimo art. 178, a wbrew traktatowi, Niemcy swych gwałcicieli prawa narodów nie wydały.

Deklaracja w sprawie *Anschluss*'u została podpisana 22 września 1919 r.; w szczególności uznały w niej Niemcy, że dopuszczenie przedstawicieli Austrji do *Reichsrat*'u mogłoby nastąpić jedynie wtedy, gdyby Rada Ligi Narodów zgodziła się na odpowiednią zmianę międzynarodowego położenia prawnego Austrji. Ale czy uznały za sprzeczną z traktatami unję celną, czy nawet gospodarczą i dziesięć innych możliwych etapów i form zjednoczenia?

* * *

Od 20-go lipca Trybunał Międzynarodowy w Hadze rozprawia nad postawionem mu przez Radę Ligi Narodów pytaniem, czy unja gospodarcza niemiecko-austrjacka jest sprzeczna z istniejącemi umowami.[1]) Postawienie takiego pytania zdra-

[1]) Do wyżej wymienionych traktatów pokoju należy dodać protokół genewski z 4 października 1922 r., w którym Austrja, wzamian za pomoc w odbudowaniu finansów, zobowiązała się przestrzegać swej niezależności gospodarczej.

dza wielką nieporadność mocarstw, płynącą z głębokiej rozbieżności ich poglądów i interesów i jest klasycznym przykładem, jak nie należy sprowadzać do kategoryj prawnych sporów, które tylko na politycznej płaszczyźnie mogą być rozwiązane. Strona prawna sporu odgrywa tutaj najmniejszą rolę, tembardziej, że już przed dwunastu laty Niemcy uprzedziły niedwuznacznie, kogo należy, że mają w tej materji inne zapatrywanie, niż ich kontrahenci. Prawda, że Trybunał ma wydać jedynie opinję, z którą Rada w zasadzie może uczynić, co zechce. Ale wyobraźmy sobie, że Trybunał stwierdzi niezgodność zawieranej unji z istniejącemi umowami, czy to powstrzyma Niemcy od wysiłków, zbliżających ich do celu, do którego się otwarcie przyznają? A jeżeli Trybunał odpowie, że niema sprzeczności: czyż państwa, których bytowi *Anschluss* zagraża, mogą się zadowolić opinją prawną i założyć ręce w oczekiwaniu fatalnego dla nich wyniku zjednoczenia Niemiec, Austrji i — z koniecznością nieodpartą — Węgier? Sprawa unji, jako przygotowania do ściślejszego połączenia, nie jest zagadnieniem prawnem ani gospodarczem, lecz wyłącznie politycznem, i politycznemi środkami musi być załatwiona: przez odesłanie do Trybunału Haskiego została tylko na krótko odsunięta. To też — wszędzie poza Polską — jest ona przedmiotem żywego zainteresowania i poważnych badań politycznych. Szeregiem prac mogą się wykazać Czesi; wielkie *exposé* min. Benesza przed połączonemi Komisjami spraw zagr. Izby Poselskiej i Senatu z 23 kwietnia stanowi takie bardzo poważne i interesujące studjum. Tylko Polski jakby ta rzecz zgoła nie obchodziła. Rząd nie ma nic do powiedzenia przeciwnikom, przyjaciołom i własnemu społeczeństwu; prasa obozu rządowego milczy; dało to prasie niemieckiej asumpt do twierdzenia, że Polska zapatruje się na *Anschluss* życzliwie, i do insynuowania, że będzie widziała interes w przyłączeniu się do organizowanej przez Niemcy *Mitteleuropy*. Ale ogół polski wie, że w tej sprawie niemasz kompromisu, bowiem ścisła łączność zagadnienia niemiecko-austrjackiego z zagadnieniem wschodniej granicy Rzeszy, i Prus Wschodnich w szczególności, istnieje dziś tak samo, jak przed laty dwunastu.

BOHDAN WINIARSKI

DYMY ORJENTACYJNE

JESZCZE pokutuje wśród ogółu polskiego mylny, a w pewnych sferach — świadomie i złośliwie mylny pogląd na dwa stanowiska, które w wojnie światowej zajęły dwa odłamy opinji polskiej — narodowy i socjalistyczny. Pogląd ten nazwać można orjentacyjnym, przymiotnikiem, który utarł się, jako że niby istniały wówczas dwie jakoby współrzędne i jakoby równowartościowe, chociaż wrogie wzajem, „orjentacje” — niemiecka i rosyjska. Miesiąc temu w rozmowie legjonistów[1]), na temat współczesnego ich kryzysu moralnego prowadzonej (na łamach „Myśli Narodowej”), raz jeszcze usłyszeliśmy echa owych „orjentacyj“ wielkowojennych. Wobec tego nie od rzeczy i nie od czasu będzie raz jeszcze w sprawie tej odwołać się do faktów i logiki w myśleniu, aby mylność i złośliwość poglądu orjentacyjnego raz jeszcze, a może dokładniej,niż to dotychczas bywało, przygwoździć. Sądzę, że ludziom myślącym a uczciwym dobrze już dokuczyły dymy orjentacyjne, za któremi wstydliwie ukrywają się nietylko niewinni i oszukani.

W roku 1914 Niemcy na swoim wschodzie rozpoczęły wojnę nie tyle przeciw Rosji, co przeciw Polsce. Ponieważ nie istniało wtedy państwo polskie, a był tylko naród polski, więc oczywiście, wojna niemiecka, musiała być oficjalnie przeciw Rosji prowadzona, nie tak atoli, by ziemie rosyjskie uszczuplić, lecz jedynie, aby pozostałą dla niemieckiej oskomy część Polski, wzorem Boa-dusiciela, cielskiem swojem opłątać, zmiażdżyć i do wygodnego pożarcia przygotować. Przypisując Niemcom rozleglejsze, i bezpośrednio w Rosję godzące, w owym czasie zamiary, posądzamy ówczesny rząd niemiecki i jego sztab główny o zbyt już wielką głupotę. Niemcy się przeliczyły, ale tylko w rachunku zachodnim. Tu, na swoim wschodzie od pierwszej chwili prowadziły wojnę jakgdyby ospale, lecz ta pozorna ospałość była właśnie trafną oceną sił rosyjskich, własnego czasu i własnych na tym froncie zamiarów. Wszystkie dane świadczą, że nie miały Niemcy w planie rozbicia Rosji i wykąszenia jej ziem, ale wyłącznie (i skromnie!) ustanowienie wspólnej między sobą a Rosją granicy. Do tego zaś celu aż nadto wystarczało tempo wojenne, które armja niemiecka od pierwszego dnia na ziemiach polskich wzięła.

Ustanowienie wspólnej między Niemcami a Rosją granicy innemi słowami wykłada się, jako ostateczne przez Niemcy pochłonięcie ziem polskich. Wojna przeto światowa na jej skrzydle wschodniem była ze strony Niemiec wojną przeciw Polsce zwróconą. Tak ją wtedy pojął instynkt szerokich warstw narodu polskiego, tak również zrozumiało ją polskie stronnictwo narodowe — ówczesna Narodowa Demokracja. Z tego wynika jasno, że jeżeli mamy mówić o dwóch „orjentacjach“, to jedna była polska, a druga niemiecka. Skoro zaś w takiem zestawieniu to słowo „orjentacja“ brzmi dla strony polskiej trochę jak „masło maślane“, przeto należy tu wręcz i poprostu mówić o takiej lub innej polityce (a nie „orjentacji”). Tak tedy podczas wojny światowej (jak, zresztą, i zawsze, i nadal....) stronnictwo narodowe prowadziło politykę polską, a socjaliści i t. zw. aktywiści polscy — niemiecką. Tak sprawa przedstawia się bez dymów orjentacyjnych, ale, że użyję tu pięknego słówka sanacyjnego, w „rzeczywistej rzeczywistości”.

Kierując się polityką wyłącznie polską, od lat dziesiątków opracowaną, obóz narodowy w chwili wybuchu wojny światowej nie „stanął” (ni stąd ni zowąd...), ale stał już dawno i mocno przeciwko Niemcom, a temsamem znalazł się ramię w ramię w jednym szeregu z Francją, Belgją i Anglją, czyli po stronie Koalicji. Że Rosja, dotrzymując sojuszu z Francją, znalazła się również po stronie Koalicji, nie mogło to zmienić zasadni-

[1]) Aby wszczęta na ten temat dyskusja (ob. n-ry 23, 24, 33 z r. b.) doprowadzić mogła do pożądanego celu, jakim jest porozumienie, należy wypowiedzieć wszystko, co może się przyczynić do wyrozumienia stanowisk. Z kolei zamieszczamy pogląd na sprawy p. St. Pieńkowskiego. Red.

czego stanowiska polityki polskiej, która nie jest chorągiewką na dachu, każdemu wiatrowi podaną. Niemcy przy sposobności wojny tej podjęły swoją tysiącletnią tradycję parcia na wschód, co wrazie ich powodzenia, w warunkach roku 1914 oznaczało ostateczne pogrzebanie Polski. Narodowa Demokracja podjęła również analogiczną polską, tysiącletnią tradycję oporu przeciw najazdowi pruskiemu, co w tych warunkach wyraziło się w sojuszu z Koalicją. Świadomie bowiem, czy bezwiednie, chcąc czy nie chcąc, sprawę polską niosły już wtedy bagnety armij koalicyjnych, o czem wiedziała i co do głębi rozumiała polityka polskiego obozu narodowego. W takiem położeniu do Koalicji mógł się był sam djabeł doczepić i nie odchyliłby ani o włos kierunku polityki polskiej. Stronnictwo narodowe nie z Rosją szło, ale z Koalicją. Dlatego też, gdy ziemie polskie stały się krwawą areną niszczących działań wojennych, oczy polskiego obozu narodowego, jak, zresztą oczy całego świata przykuwał do siebie front zachodni, bo każdy wiedział, że tam i tylko tam losy wojny się rozstrzygną.

Dawni aktywiści zapluwają się w swoich wrzaskliwych oskarżeniach, że polskie stronnictwo narodowe szło wtedy z „wrogiem i zaborcą Polski“ — z Rosją. A z kimże oni sami wtedy szli? Z przyjacielem i dobroczyńcą Polski? Błąd swojej polityki niemieckiej chcą dawni aktywiści osłonić dymami jakoby dwóch i jakoby równorzędnych „orjentacyj“. Ale to jest brudne ich, iście żydowskie, oszustwo. W całej nagości odsłania je fakt. że socjalizm polski poparł wtedy Niemców całą, na jaką tylko mógł się zdobyć, siłą zbrojną, całą, do ostatnich nerwów wytężoną, propagandą moralną. Kogo popierał? Przyjaciela i dobroczyńcę Polski? Natomiast polski obóz narodowy utrzymywał społeczeństwo polskie w życzliwej neutralności względem sojusznikaKoalicji, jakim była Rosja, a to z tej rozumnej racji, że każdy w on czas odruch przeciw Rosji byłby ruchem przeciw Koalicji. Jednocześnie zaś wszystkie wysiłki polityki polskiej skierowane były ku postawieniu polskiej siły zbrojnej po stronie Koalicji i uwieńczone zostały powstaniem armji Hallera. Tam przedewszystkiem, na polach Francji, polski żołnierz pod polskim sztandarem broczył krwią za sprawę polską w wojnie światowej.

Zatem nie po stronie Rosji stał polski obóz narodowy w wojnie światowej, ale tam, gdzie walczyła jego formacja wojskowa — czyli po stronie Koalicji. Za to socjalizm polski ma na swojem sumieniu krew młodzieży polskiej, przelaną dla sprawy wroga śmiertelnego — Niemca. Ona to, widocznie, ta krew ofiarna zaćmiewa mózgi socjalistów polskich, czyniąc z nich potępionych i potępieńczych, tępych na wieki pachołków Germanji. Mózgi ich dzisiaj jeszcze z żydowsko-udanym czy też z polsko-baranim sarkazmem pytają, jaką to mianowicie korzyść upatrywała polityka stronnictwa narodowego w zwycięstwie Koalicji (lecz tu oszukańco wymieniają Rosję)... Jaką korzyść?! Naiwni... Wczoraj spadli z księżyca... Nie wiedzą... Trzeba im to poglądowo tłumaczyć...

Zasadnicza różnica w możliwościach rozstrzygnięcia sprawy polskiej w wyniku wojny światowej z dwu różnych stanowisk polskich — socjalistycznego i narodowego — była wówczas ta (świadomie wtedy przez obie strony polskie głoszona), że polski obóz narodowy chciał europejskiego rozwiązania sprawy polskiej przed trybunałem — że tak to nazwę — wszystkich narodów, przeciw Niemcom wojujących, i dlatego dążył do zwycięstwa Koalicji, zaś socjalizm polski (i t. zw. aktywizm) chciał pokątnego rozwiązania sprawy polskiej przed trybunałem wyłącznie niemieckim, i dlatego pomagał do zwycięstwa Germanji. Polski obóz narodowy odwoływał się do całego świata przeciw niedoli całego narodu polskiego, zaś socjalizm polski (i aktywizm) odwoływał się tylko do Niemiec przeciw całemu światu wojującemu i sprawę polską składał wyłącznie w ręce najsilniejszego i wieczystego wroga Polski. Który z tych „trybunałów“ był dla Polski pożądany, to już historja obustronnie i wyraźnie orzekła. Zwycięstwo Koalicji dało Polsce to, co dało. A gdyby Niemcy zwyciężyły, mielibyśmy — według orędzia z roku 1916 — czwarty rozbiór Polski i „państwo“ wielkości marszałkowskiego talerza...

Jednakże sprawa wyboru owego, jak to tu nazwałem, „trybunału“ była wówczas w programie działań Narodowej Demokracji tak wyraźnie postawiona, że nie mamy dzisiaj potrzeby powoływania się na sąd historji, a więc, niejako, rozpatrywania rzeczy *ex post*. Polityka polskiego obozu narodowego w wojnie światowej z pełną świadomością dążyła do wyrwania sprawy polskiej z rąk obu wrogów i zaborców i do przeniesienia jej na *forum* międzynarodowe, europejskie. Świadczy o tem ówczesna odnośna literatura i publicystyka polskiego obozu narodowego. Strategja Narodowej Demokracji była, jak jej polityka, jedna, mianowicie — polska, czyli jednako wroga Rosji jak i Niemcom. Tylko taktyka względem każdego z tych dwóch wrogów była inna, zastosowana do okoliczności. Ówczesny najbliższy cel polskiego stronnictwa narodowego t. j. wyrwanie sprawy polskiej z rąk rosyjsko-niemieckich, i przeniesienie jej na scenę dramatu światowego było czynem względem Rosji wrogim — i tak go też zrozumiał wtedy rząd rosyjski. W warunkach ówczesnej gry politycznej Rosja była tym czynem polityki polskiej zaskoczona, był to bowiem dla Rosji szach nie do odparcia, po którym tak czy owak musiał mat nastąpić. Stając oficjalnie, jako strona wojująca przeciw Niemcom w sojuszu z Koalicją, Polska ówczesna dzięki Narodowej Demokracji stawała w szeregu państw samodzielnych, w samodzielności swej przez Koalicję uznanych. Czyn ten musiał następnie, po zwycięstwie nad Niemcami, pociągnąć za sobą skutki logiczne, a to bez względu na poszczególny wynik wojny, na rosyjsko-niemieckim froncie prowadzonej. Lecz losy tego frontu były już wtedy przesądzone, a przez Dmowskiego o wiele wcześniej, bo w roku 1914 przewidziane i do rachub polityki polskiej wciągnięte. Tak tedy polski obóz narodowy prowadził politykę samodzielnie — polską, przewidującą, mądrą, przeciw obu wrogom Polski wymierzoną, a poparł ją przy nadarzającej się możliwości czynem zbrojnym polskiej armji błękitnej. A cóż w tym czasie czynił aktywizm polski? Czy nie oddawał losów Polski w ręce Niemców — całkowicie, bezwolnie, służalczo — w ręce nieprzejednanych, odwiecznych wrogów narodu polskiego? Czy nie prowadził polityki niemieckiej?

Wspomniałem o przewidywaniu Dmowskiego, przy sposobności zatem przytoczę tu urywek rozmowy, który wiele w tej sprawie oświetli. W roku 1914, w przygodnej rozmowie towarzyskiej postawiłem Dmowskiemu takie pytanie:

— Czy pan przypuszcza, że Rosja zwycięży Niemców?

— Rosja? — zapytał w odpowiedzi Dmowski, a w jego tonie był odcień zdziwienia. — Po klęsce z Japonją?...

I tu w zamyśleniu, patrząc w przestrzeń, szeroko i wolno pokręcił głową. Poczem dodał bezpośrednio:

— Ale Niemcy muszą być pobite. W przeciwnym razie ciężkie przyjdą czasy na Polskę...

Tyle z owego „politycznego" urywka rozmowy pamiętam i tyle podaję. Dmowski nie potwierdził i nie zaprzeczył, ale to było jasne, że tak czy owak Rosja z jego rachunku wojennego odpada, a pozostają tylko Niemcy, które „muszą być pobite". Tak na tę sprawę zapatrywał się cały polski obóz narodowy. Nikt nie przewidywał rychłego kataklizmu rosyjskiego, ale słabość wojskowa Rosji wobec Niemców była widoczna i coraz widoczniejsza. Zatem — pozostawał tylko drugi wróg i zaborca Polski, więc przeciw niemu trzeba było stanąć do zbrojnej rozprawy, ale, rzecz prosta, po stronie Koalicji, a nie po stronie Rosji. Tak też uczynił wtedy Dmowski i jego stronnictwo. Była to przeto polityka polska, przeciw obu wrogom Polski wymierzona. A cóż w tym samym czasie czynił socjalizm polski i jego wujaszek — konserwatyzm? Czy w dalszym ciągu, kiedy już Rosjan w Polsce nie było, oba nie wysługiwały się Niemcom? Kiedy po rewolucji rosyjskiej polski obóz narodowy chciał rozproszonego w gnijącej armji rosyjskiej żołnierza polskiego skupić w polską formację wojskową, by poszła bronić Ojczyzny przeciwko Niemcom, lewica polska z konserwatyzmem na spółkę wytężyła wszystkie siły, żeby do powstania armji polskiej nie dopuścić i żeby Niemców przed orężem polskim ocalić. Jakaż to była jej polityka: — polska, czy niemiecka?

Jakież zatem stanowisko zajmuje patrjotyczne i narodowe społeczeństwo polskie wobec żołnierzów, którzy z ramienia N. K. N. walczyli, i bez rozumowania, ale z pełną wiarą, że walczą za sprawę polską, młode życie swoje oddawali? Stanowisko, bez niewczesnych tu wyrzutów, braterskie i przyjacielskie. Jest-to obecnie punktem honoru samych tych żołnierzów upomnieć się u odpowiedniej polityki o krzywdę moralną, im i ich poległym towarzyszom wyrządzoną. Jednak polska opinja narodowa nie może posunąć się tak daleko, ażeby gwoli oszukanym i wyzyskanym uznawać milcząco dymy, widma dymów orjentacyjnych, za któremi oszuści chcą zbrodnie swoje pochować. To inna i z kim innym sprawa.

Włóczy się po kraju polskim upiór niesamowity i — nie pokornie, jakby mu przystało, — ale cynicznie i nahalnie poczyna sobie w duchu słów wyrocznych: „Ręce myć! Chusty prać! Nie będzie znać! Nie będzie znać!" Jego brutalstwo i bezczelność wszelką miarę przekracza. Ze szkół pralnie swoje porobił — chemiczne. Literaturę na mydło obrócił. Dymami kłamstw i oszczerstw dzieje zasnuwa, by siebie wydać za wzór czystości i szlachetności. Uczciwych oczernia, wielkość poniża, zgniliznę dokoła szerzy, cierpliwości dobrego narodu doświadcza. Wiele napsuje, wiele zniszczyć może na dziś, na jutro, na pojutrze. Tylko, jak z czoła Lady Mackbeth, tak z jego czoła jednej plamki czerwonej „wszystkie wonności Arabji" (i Palestyny) nie zmyją!

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

DZIEDZICTWO WALTER — SCOTTOWE

(UWAGI NAD WSPÓŁCZESNĄ POWIEŚCIĄ HISTORYCZNĄ)

ENTUZJAZM, z jakim przed stu kilkunastu laty publiczność czytająca Wielkiej Brytanji, a potem i całego świata cywilizowanego, przyjęła pierwszą prawdziwą powieść historyczną (w obecnie ustalonem znaczeniu tego terminu) „Wawerley" sir Waltera Scotta — mógł wprawdzie dawać podstawy do wróżenia temu gatunkowi literackiemu świetnej przyszłości; mało przecież byłoby takich krytyków literackich, czy wprost tylko miłośników literatury pięknej, którzyby przypuszczali, iż powieść historyczna stanie się najpopularniejszym niemal rodzajem poetyckim wieku XIX; rodzajem, który uprawiać będą największe talenty, zasadniczo pracujące w innych dziedzinach myśli ludzkiej czy sztuki; rodzajem, w który pewne narody, w osobach swych twórców, włożą najwyższe, najpotężniejsze, najbardziej swoiste pierwiastki duchowe i kulturalne; formą, w którą ubiorą najcenniejsze swe ideały, najskrytsze, najdroższe marzenia. Taki fakt ma miejsce przedewszystkiem w literaturze polskiej, gdzie powieść historyczna typu walter-scottowskiego — lub co więcej: dumasowskiego—genjuszem twórcy i jego umiłowaniem ojczyzny wzniesiona została na najwyższy poziom eposu narodowego (Sienkiewicz); bardzo ważną rolę odgrywa ona w piśmiennictwie francuskiem (Dumas, Flaubert) lub rosyjskiem, gdzie najdonioślejsze, najbardziej palące zagadnienia społeczne, polityczne, metafizyczne i t. d. rozwiązywano na terenie romansu historycznego (Tołstoj, Mereżkowskij).

I nigdy zapewne nie marzył rozmiłowany w górach Szkocji i jej niebie, w nawpół legendarnych dziejach starożytnych rodów kaledońskich — sir Walter Scott, że kiedyś, za lat pięćdziesiąt czy siedemdziesiąt pięć, powieść historyczna — której jest twórcą właściwym — zamiast bawić czytelnika tajemniczemi historjami z życia szkockich thanów, zamiast wzruszać go bohaterstwem Ivanhoe'a czy nieszczęściami pięknej żydówki Rebeki albo losem tragicznym Marji Stuart — rozstrząsać zacznie zagadnienia odwiecznej walki Dobra i Zła, zajmie się kwestją, czy twórcami dziejów są masy, czy też wielkie jednostki — lub obejmie rolę przewodniczki narodu, ratującej jego duszę od rozpaczy i samozatracenia się w najcięższych chwilach.

Dzisiaj — po latach stu zgórą, po zmieniających się raz po raz epokach trjumfu i upadku, po Sienkiewiczach i Kraszewskich, po Ponson du Terrail'ach i Flaubert'ach, po wyrokach śmierci, wydanych na nią przez Goethego i Zolę — jest powieść historyczna gatunkiem literackim, który nic nie stracił ani na popularności, ani na ilości. Książki Sygrydy Undset, Ludwiga czy Szczuckiej mają popyt niemniejszy od tego, jaki mieli Paul Adam, Mereżkowskij etc. Ukazuje się też na rynku księgarskim powieści historycznych niewiele mniej, niż egzotycznych czy sensacyjnych.

Ale, niestety, popularność książki nie zawsze idzie w parze z jej wartością. Umyślnie zrobiłem paralelę Undset, Ludwig, Szczucka — P. Adam, Mereżkowskij, nie mogąc trojga współczesnych pisarzy porównać z twórcami „*Salâmmbo*“, „Wojny i pokoju“ lub „*Quo vadis*?“.

Jak i wszystkie inne rodzaje literackie, jak cała sztuka we wszystkich swych odcieniach, jak, wreszcie, cała cywilizacja i kultura dzisiejsza — szuka współczesna powieść historyczna nowych dróg. I choć popularna, a nieraz poważnie ceniona (np. nagroda Nobla dla S. Undset) ciężką o należne jej stanowisko i o rynek stacza walkę z romansem super- erotycznym, ultra - sensacyjnym lub „frapująco - społecznikującym“. Dawny typ powieści historycznej mógłby dzisiaj utrzymać się w dalszym ciągu jedynie przy pomocy wielkich talentów. Takich zabrakło — i Walter Scott z Dumasem i Ebersem powlekli się na emeryturę jako „autorzy dla młodzieży“; Tołstoja i Flauberta, a poniekąd i Sienkiewicza (choć z mniejszem powodzeniem) na swój sposób „bronzuje się“, t. zn. odsyła się do „historji literatury“; awansują na „klasyków“ czyli autorów, których dziś mało kto czyta, oprócz uczących się do egzaminu.

W dobie powszechnej specjalizacji rozpadła się powieść historyczna na szereg drobnych, dość słabo wprawdzie — ale przecie zróżnicowanych gatunków. Miały one lub mają niemal wszystkie charakter przeważnie eksperymentalny. Wiele z nich dotknął smutny los, iż dalej pierwszego eksperymentu nie poszły i utonęły „w niepamięci morzu“. Na plan pierwszy, zdobywając sobie uznanie zarówno historyków, jak i krytyków literackich — podbijając czytelników, a więc rynek — wybił się gatunek, zwany „żywotem romansowym“. Ludziom, żyjącym w szarej, przyziemnej atmosferze żmudnej, a nudnej walki codziennej o chleb powszedni, widzącym około siebie takich samych szarych, a nieciekawych bliźnich — zaimponowały czyny wielkich jednostek, co się nad szary ów tłum wybić potrafiły. I jak z rogu obfitości, posypały się cudowne żywoty Balzac'ów i słoneczne Shelley'ów... historje życia Ninon de Lenclos i Madame de Pompadour...

Ciekawy dzięki swej filozofji indywidualistycznej gatunek literacki przeszedł w manjerę, zamienił się w tandetę. Lepsze „żywoty romansowe“ przestały być literaturą piękną, przetwarzając się w czysto naukowe monografje, gorsze, typu powieści polskich o Barbarze Radziwiłłównie (w której to książce polska królowa z XVI wieku krzyczy dworzanom: — *Stop!*) — poderwały autorytet powieści historycznej u inteligentniejszej części czytelników, u mniej wybrednej zaś wypaczyły pojęcia o narodach i ich dziejach, zmuszając czytelników wierzyć, że Fouché był jednym z głównych twórców Europy nowoczesnej, a wspomniana wyżej Ninon de Lenclos i „najpiękniejsze oczy Londynu“, pani Hamilton odegrały w dziejach ludzkości rolę conajmniej taką, jak królowa Elżbieta lub Katarzyna Medici. Największym brakiem „żywota romansowego“ jest to, iż cała treść powieści obraca się około bohatera czy bohaterki; wszystko inne odsunięte jest na dalszy plan. W wyniku mamy obraz dziejów, tworzony przez jednego olbrzyma, któremu dosyć łatwo przychodzi walczyć z wielką ilością tonących w mgle, ledwo widzialnych pigmejów.

Owemu hyper - indywidualistycznemu ustosunkowaniu się do dziejów przeciwstawia w swych powieściach historycznych indywidualizm normalny, a właściwie walkę indywidualności, jako walkę różnych, choć zamkniętych w sobie światów, walkę, której wynikiem są dzieje — powieściopisarz rosyjski, Marek Ałdanow.

W Polsce, gdzie powieść historyczna zawsze cieszyła się sympatjami zarówno autorów, jak i czytelników — „żywot romansowy“ dość marny pędzi „żywot“. Poza jedyną, możliwą jeszcze książką Wołoszynowskiego o Słowackim — reszta, tylko makulatura włącznie z Leo Belmontem i Czekalskim.

Widocznie, psychika narodu polskiego, przyznająca każdej jednostce prawo do roli czynnej w stwarzaniu dziejów, z trudnością się zdobywana wydanie z siebie utworu o jednym olbrzymie pośród pigmejów. Śmiem też sądzić, że ałdanowskie założenia o wiele więcej odpowiadałyby polskiej powieści historycznej. Tymczasem jednak, siłą kontrastu odwróciła się ona od indywidualizmu, od indywidualności, od człowieka wogóle i stała się bardem f a k t u. Wyrzykowski w „Moskiewskich godach“ daje jedynie upoetyzowany przegląd faktów, które zaszły w latach 1605 i następnych w stosunkach polsko - moskiewskich. Nie on bodaj jest jednak najpopularniejszym przedstawicielem naszej powieści historycznej dnia dzisiejszego. Berło, co przechodziło z rąk Bernatowicza do Kraszewskiego i Kaczkowskiego, co raz znalazło się w iście królewskiej, potężnej dłoni Sienkiewicza, berło, dość słabo trzymane przez Gąsiorowskiego — dzierży dziś kobieta, autorka „*Beatum scelus*“, „Szaleńców Bożych“, „Złotej wolności“ wreszcie „Legnickiego pola“ — Zofja Kossak-Szczucka.

Autorka ta, mistrzyni języka i stylu, doskonała malarka (który to talent odziedziczyła) i świetna znawczyni dziejów naszych, zadziwiająca wprost ogromem erudycji — stworzyła rzecz niepospolitą, którą wielu uważa za arcydzieło, a niektórzy przenoszą ponad Sienkiewiczowską trylogję — „Złotą wolność“. W powieści tej pokazała nam Polskę na początku wieku XVII, a w Polsce owej to, na brak czego u Sienkiewicza uskarżał się Chmielowski — mianowicie życie duchowe i kulturalne ówczesnych Polaków. Okazała też niepospolitą inwencję autorską, podchodząc do tematu od strony, dotychczas nieznanej w naszej powieści historycznej. Sama gorliwa katoliczka, przypisująca Kościołowi Katolickiemu olbrzymią rolę w dziejach Polski, zarówno kulturalnych, jak politycznych — bohaterami swymi czyni arjan, w których środowisko wprowadza czytelnika, by wkońcu bohaterów swych doprowadzić do katolicyzmu.

Ale nie tyle fabułą, ani nie olbrzymią ilością figur historycznych uderza głównie ta powieść. Najważniejszą rzeczą w niej są realja. Realista — Sienkiewicz, któremu przecież nie można odmówić zdolności malarskich, blednie wobec tych niezliczonych, skrupulatnie zebranych i hojnie podanych czytelnikowi szczegółów życia polskiego w owym czasie. Szable, modlitewniki, chorągwie, koszule, piszczałki, czcionki drukarskie—czegóż tam niema?!.

Niema jednej rzeczy — żywego człowieka — rozumie się, człowieka historycznego.

Ilość postaci historycznych w „Złotej wolności“ jest nierównie większa, niż w „Trylogji“. Jest jednak coś, co zmusza do poważnego zastanowienia się, zanim uzna się powieść Kossak-Szczuckiej za naprawdę — powieść historyczną.

Walter - Scott brał ludzi ze swego otoczenia lub co najwyżej ze starych ballad, ubierał ich

w hełm i pancerz czy też kaftan łosiowy i kazał wierzyć, że to są postacie z wieku XII lub XVII; Aleksander Dumas - ojciec przepisywał z kronik nazwiska wielkich osobistości dziejowych wraz z ich szczegółowym rysopisem i otwierał przed czytelnikiem fikcyjne życie intymne tych królów czy muszkieterów; Tołstoj i Żeromski, wżywszy się w ducha czasu, pokazywali, jakimi byli ludzie w początku w. XIX, owi zwyczajni, szarzy ludzie, którzy w masie składali się na organizm, zwany społeczeństwem — mało się interesując wybitnemi postaciami historycznemi, którym odmawiali miana twórców historji, przenosząc tę rolę na społeczeństwa; Sienkiewicz „dla pokrzepienia serc“ wybrał z pośród niknących w mrokach przeszłości cieniów „co najprzedniejsze ziarno“ — jak mówi Słowacki — i rzucając oślepiający snop światła, pokazał narodowi, jakimi byli jego ojcowie — raczej jakimi zdawali się być jemu, Sienkiewiczowi...

Pani Kossak - Szczucka zrobiła prościej: mnóstwo postaci historycznych, od których roi się w „Złotej Wolności“, przeniosła do swego utworu wprost ze szkolnego podręcznika historji!..

Wszyscy ci Chodkiewicze i Żółkiewscy, Karolowie Sudermańscy i Zygmuntowie — ładnie, po stylowemu są ubrani, brzęczą szablami, chodzą na Szwedów czy Moskali, uciekają z pod Kirchholmu lub kłócą się z Zamoyskim — ale nie mają żywej duszy. Czytelnik, który z powieści tyle nowych rzeczy dowiedział się o arjanach i ich zjazdach, o pałacu królewskiem i dworach szlacheckich, o szyku wojsk pod Kirchholmem i bandytach w Tatrach — wcale nie pomnożył swojej wiedzy o którymkolwiek z dobrze znanych, w duszy od dzieciństwa nabożnie noszonych bohaterów. Wie, jakim stylem pisze Chodkiewicz do żony przed bitwą, ale nie dowie się, o czem myślał surowy wódz w noc poprzedzającą walkę...

„Legnickie pole“, jak twierdzą znawcy, jest krokiem naprzód zarówno w zakresie kompozycji, jak i szaty językowej czy stylistycznej. Ale, jako powieść historyczna—jest ono, według mnie, jeszcze słabsze, niż książka poprzednia. Realja i tu zadziwiają i olśniewają, erydycja zmusza uchylić kornie czoła, wszystko, co można było powiedzieć o Śląsku i jego panujących w przeddzień napadu Tatarów, jest powiedziane, i to powiedziane prześlicznie, nieraz wzruszająco i olśniewająco... Z prawdziwym talentem pokazane jest serce potężnego, uniwersalnego państwa mongolskiego — stolica Czengis-chana... Jak żywych, widzimy setki tysięcy szarych ludzi na małych koniach, szalonym pędem gnających na Zachód... Wizja przewspaniała. Ale tu tak samo, a raczej w jeszcze większym stopniu, niż w „Złotej wolności“, niema żywej duszy, żywego człowieka i to tak dalece, iż dotyczy to nietylko postaci dziejowych, ale wszystkich, najpodrzędniejszych nawet bohaterów. I tu ludzie powycinani są z podręcznika historji: święta Jadwiga zawsze we włosiennicy i rozdająca dary i pociechy ubogim i więźniom, Henryk Pobożny, starający się być rycerzem i księciem prawdziwie zachodnim, wreszcie Brodaty — co chwila t a r g a j ą c y d ł u g ą s i w ą b r o d ę!..

A poza realjami, poza temi obrazkami, wyciętemi z ilustrowanego wydania dziejów ojczystych— wszystko reszta — typ!.. Nie wiem, czy było to świadomą intencją autorki, ale, zdaje się, niema drugiej takiej powieści historycznej, gdzieby typizacja doszła do takiej idealnej skończoności, poza którą niema już nic...

Konrad i Henryk, synowie Brodaczowi, — to symbole walki polskości z niemczyzną na Śląsku; nie mówią nigdy o niczem innem, jak na ten temat; Wenecjanin nigdy nie robi nic innego, jak tylko nienawidzi Genueńczyków, ci zaś Wenecjan; Mongoł jest ponury, nieokrzesany, miłujący przestrzeń, walkę i łup — każdy... zawsze...; Chińczyk o twarzy nieruchomej, niewysłowienie grzeczny, w milczeniu spalający papierki przed posągiem Buddhy i ciągnący z fajki opjum — właśnie taki, jaki m u s i być, a nie inny... Templarjusz m u s i prowadzić życie rozwiązłe, a krzyżak udawać bardzo gorliwego w praktykach religijnych, same typy, wszędzie typy!.. Żeby choć raz Henryk Pobożny pomyślał o żonie, z którą ma przecie 9 dzieci!.. żeby też Mongołowi przyszło do głowy zajrzeć do jakiej księgi, lub Templarjuszowi pomyśleć o zbawieniu swej duszy... Nie, nie można — nie mogą, nie mają prawa wypadać z tonu...

Napróżno kołacze czytelnik do głębi dusz tych niezwykle ciekawych, tak wspaniale naszkicowanych przez autorkę postaci. Zamknięte na siedem pieczęci. Główne, żeby w niczem nie uchybiono podręcznikowi historji.

Może być, owa typizacja jest świadomą lub odruchową reakcją na rozbujały indywidualizm, jaki się panoszy w „żywocie romansowym“. Ale reakcja ta jest stanowczo za mocna. Śmiem twierdzić, że typizacja jest czemś zupełnie obcem polskiej powieści historycznej. I „Pojata“, i „Olbrachtowi rycerze“ — choć nie zaniedbywały faktu — głównie zajmowały się losami żywych ludzi, ich życiem czy to zewnętrznem, czy wewnętrznem... Bohaterowie „Popiołów“ — to też przecie indywidualności, nieraz silne i niesforne, nieposłuszne owej sile, co ma panować nad wszystkiem: społeczeństwu.

Sienkiewicz, który raz tylko chciał stworzyć typ i dał najsłabszą artystycznie ze wszystkich swych kreacyj (Skrzetuski), jak czarodziej — ożywił zmarłe dawno czasy i zmarłych ludzi. Być może, Chmielnicki nie był w rzeczywistości takim, jakim go poznajemy w „Ogniem i mieczem“ — nazawsze jednak obraz jego utrwali się w naszej wyobraźni i pamięci i wyprze z niej Chmielnickich, znanych z podręczników szkolnych. Może książę Jeremi ma być tylko symbolem, reprezentować pewną ideą — w momencie jednak, gdy leżąc w prochu pod krzyżem, walczy ze swą duszą, widzimy, poznajemy najgłębsze tajniki i najwyższe szczyty człowieczeństwa.

Nic z tego niema w powieściach p. Kossak-Szczuckiej. Gdy czytałem „9 termidora“ Ałdanowa, choć wiedziałem z historji, co się stanie z Robespierrem czy kobietą, kochaną przez Tallien'a — przeżywałem losy i walkę wewnętrzną tych ludzi tak, jakbym poznawał ich dopiero. Z Chodkiewiczem zaś, czy św. Jadwigą lub Henrykiem Pobożnym nie dzieje się i dziać nie może nic takiego, czego nie przewiduje podręcznik historji.

Trudno dziś osądzić, jakie będzie jutro powieści historycznej. Jaki będzie jej stosunek do życia?.. do świata?.. i co najważniejsza — do przeszłości... Czy nie należałoby stosunku tego ułożyć tak, jak aktor układa swój do utworu dramatycznego? Tekst nieskażony podać widzom w postaci zindywidualizowanej, zmusić ich, by dobrze znaną treść przeżywali ponownie zupełnie inaczej, niż dawniej, tak, jak chce tego on — aktor...

Lwów TEODOR PARNICKI

NA WIDOWNI

Pamięci Kasprowicza. — Twórca, który wyrasta. — Spór o przynależność polityczną. — Obskurantyzm naszych czasów i jego pochodzenie. — Rzeczoznawca polityczny. — Naciąganie historji.

W DNIU 1 sierpnia upływa pięć lat od śmierci Jana Kasprowicza. Trudno mi dziś uwierzyć własnej pamięci, że taki poeta żył między nami. To, co po nim i Wyspańskim zostało poezji, wygląda, jak po odpływie morza na plaży — dołki z wodą, w której brodzą dzieci. Ostatnie słowo, jakie o nim powiedziano:

— „Kasprowicz był najpotężniejszą osobowością wśród poetów i pisarzy końca 19-go i początku 20-go wieku w Polsce. Jako organizacja religijno-moralna należy do plejady duchów tak wielkich, jak Mickiewicz i Norwid... Był to człowiek prosty i silny w najszlachetniejszem tych słów znaczeniu i zarazem najbogatszy w zasoby ducha. Twórczy, walczący jego żywot, pełen harmonji i ukojenia jego schyłek — stanowią krzepiący godność ludzką wizerunek".

Temi słowy zamknął 22-i tom dzieł poety uczony ich redaktor Stefan Kołaczkowski (1930).

Właśnie ten życiorys prof. Kołaczkowskiego nasunął mi pewne myśli, z których zrobię tutaj użytek. Wprzód jednak stwierdzić muszę, że jak na roztargnione czasy nasze, kiedy pamięć po ludziach trwa krócej, niż chwila, której woda potrzebuje, na zagładzenie lustra po rzuconym kamieniu, życie pośmiertne Kasprowicza jest stosunkowo bujne, znaczone objawami miłości i coraz głębszego rozumienia. Dzieje się z nim tak, jak przewidzieliśmy, pisząc przed pięciu laty o jego śmierci:

„Nie oddajemy się rozpaczy nad jego mogiłą. Dzieła jego żyć będą po nim, bo mają w sobie pierwiastek wieczny pożądań dobra i pracy wewnętrznej; żyć będą wiecznie i powszechnie, bo w jego sztuce forma nie oddziela się od treści,— z duszy do duszy brane budzić będą w każdej tęsknoty i porywy, któremi gorzał twórca".

Mało kto z wielkich twórców był tak pilnie obsługiwany. Dosyć powiedzieć, że od roku ma już wydane — i to bardzo starannie (dzięki Kołaczkowskiemu) wszystkie swoje dzieła. Miałby wydane i przekłady, gdyby nie przyszły ciężkie czasy dla wydawców. Jest już dosyć gruntownie obrządzony ze strony biograficznej, a nowe przyczynki mnożą się w postaci wspomnień ogłaszanych i listów.

Pomimo wszystko nie ustalony jest jeszcze wizerunek duchowy poety. Na przeszkodzie stoi fakt, że pokolenie pokasprowiczowskie nie ma jeszcze ustalonych pojęć co do modelu człowieka twórczego wogóle i, dowolnie sobie wyobrażając tajemnicę twórczości narodowej, nie ma jeszcze wspólnego języka, gdy chodzi o określenie zasadniczego stylu twórcy. Skąd to pochodzi? W dzisiejszym swoim składzie (my, ludzie z dwu epok, łamiących się na wielkiej wojnie) jesteśmy sami mieszaniną stylów sprzecznych, które się przeciwstawiły sobie w wieku 19-m, jako konflikt między psychiką narodowej i socjalnej demokracji. Ponieważ z powodu niedostatku ogólnej kultury duchowej grunt pod tym konfliktem był grząski, więc wszystko, co było doktryną, głęboko ugrzęzło w nieporozumjeniach.

Główne nieporozumienie wynikło z przesądu, że pierwiastki: narodowy i socjalny są antytezą, która dzieli tych ludzi na wylot i do dna, to znaczy, że między ugrupowaniami partyjnemi, biorącemi te pierwiastki za swe hasła, niema gruntu wspólnego. Są to odrębne światy psychiczne, moralne i polityczne, tak nie mające z sobą nic wspólnego, że nieraz dla popularyzatorów tej doktryny żywioły obce narodowo były bliższe i cenniejsze, niż obóz narodowy własnego kraju. Raczej cały naród uznać za naród idjotów, aby tylko uratować czystość swego pochodzenia partyjnego. Przyczepienie przymiotnika „polska" do nazwy partji socjalnej demokracji, dokonane oportunistycznie pod naciskiem wymagań życia, zmuszało do tem kategoryczniejszego zaznaczania różnic wewnętrznych: aby tylko nie posądzono partji o nacjonalizm.

Doszło do podziału sfer oświeconych na dwa obozy tak od siebie odległe, jakby reprezentowały dwa wrogie narody, nastające na swoją cywilizację. W polityce obóz lewicowy orjentować się zwykł według dążeń obozu prawicowego, aby postępować wręcz odwrotnie. Stąd straszne pomyłki i stąd coraz głębsze zapadanie obozu lewicowego w stan niemyślenia o rzeczach politycznych — stan apolityczności.

Łatwo wywnioskować, jak się to odbiło w literaturze. Trzeba było tworzyć teoryjki o niezależności natchnień twórczych od psychiki narodowej, o bibljotecznem samorództwie literatury w atmosferze współżycia międzynarodowego (PEN-kluby), ale przedewszystkiem strzec zazdrośnie tej literatury od związków z ideowością narodową. Skoro nie można ustrzec twórczości od wpływów naturalnych, jakie wywiera rasa, i od uczuć patrjotycznych (owszem one nieraz dobrze robią poezji), to przynajmniej odgrodzić ją trzeba od ideowości narodowej, od tego wszystkiego, co jest patrjotyzmem organizowanym przez myśl historyczną. Bo to już polityka.

Od uprzedzenia tego nie ustrzegł się światły umysł Kołaczkowskiego w stosunku do Kasprowicza. Dlatego właśnie, że uwielbia i podziwia tego wielkiego poetę, tem więcej mu zależy na tem, aby zdjąć z niego piętno moralnej i formalnej przynależności do obozu, organizowanego ideą narodową. Toby mu psuło pogląd na jasną postać Kasprowicza.

Z Kołaczkowskim można i warto wymieniać myśli bez tajenia prawdy i pewno mi uwierzy, że nie dla polemiki, w celu pomniejszenia jego wpływu na opinję literacką w Polsce, to piszę. Cenię wysoko jego pracę krytyczną, a poruszam tę sprawę w tem miejscu, jako zagadnienie publicystyczne.

Klin wbijany w społeczeństwo przez masonerję dla celów głównie politycznych, rozwalający je na dwa odłamy, nie powinien sięgać w pokłady zasadniczych podstaw myślenia filozoficznego do tego stopnia, iżby paraliżował mózg krytyki niezależnej. Skoro wolno w oczach Kołaczkowskiego każdemu pisarzowi należeć do obozu, jaki mu się podoba, to czemuż ujmą byłoby dla Kasprowicza należeć do stronnictwa narodowego? Jakież było zadanie tej grupy ideowej? Zorganizować żywioł patrjotyczny, aby był nie tylko nastrojem biernym, lecz siłą czynną i uporządkowaną, kierowaną przez myśl. Poezji bynajmniej to nie szkodzi, że rozumie swe uczucia i umie im nadać kierunek zgodny z dążeniami historycznemi narodu; mieć rozum polityczny, to nie ujma, to — postęp. Pokazało się to na Kasprowiczu. Tak też i odwrotnie nie pomogło w twórczości Żeromskiemu, Sieroszewskiemu, czy Daniłowskiemu, że brodzili w tym żywiole bez żadnej sensownej orjentacji — pod prąd i nurka.

Trzeba skończyć z zabobonem, że poeta musi mieć kulturę myślową, ale w jednej dziedzinie może być zupełnie surowy — mianowicie w psychice narodowej. Tu wolno mu majaczyć, zgadywać, jest to bowiem dziedzina t.zw. licencji poetyckiej. Dawniej rozciągano ją na gramatykę, jeśli o rym chodziło; nasze pokolenia poromantyczne objęły nią najważniejszą treść natchnień, narzucającą się świadomości artystycznej.

Kiedy ukazał się w „Bibljotece Narodowej“ wybór pism Kasprowicza w opracowaniu Kołaczkowskiego, zwróciłem uwagę w notatce na niezrozumiałą drażliwość, z jaką krytyk w życiorysie traktuje stosunek poety do grupy, z którą poeta współżył. Pisał tam:

„Zbliżenie do obozu narodowo-demokratycznego tłumaczy się między innemi i osobistym urokiem J. L. Popławskiego, człowieka niepośledniej miary i stosunkami z Z. Wasilewskim, który okazywał poecie przyjaźń, zrozumienie i był autorem pierwszego obszerniejszego o nim studjum. Patrjotyzm poety, o którym nie lubił mówić, był silny i głęboki. Mimo związków z poszczególnymi działaczami politycznymi narodowej demokracji nie był on człowiekiem o strukturze psychicznej im pokrewnej. Nie był to zresztą polityk. Cechował go radykalizm moralny, czyniący go niezdolnym do kompromisów“. (str. VII).

Ileż tu starania włożono, aby wytworzyć jakąś antytezę między Kasprowiczem a ideowością grupy. Nie mógł do niej należeć, bo był „niezdolny do kompromisów“. O jakimże kompromisie mowa: uczuć z rozumem? Popławski też był radykał, myśmy wszyscy byli radykali, bośmy łamali rozleniwioną w biernych uczuciach naturę. Kołaczkowski zbliżenie z Popławskim przenosi za datą 1902 r. (kiedy Kasprowicz wstąpił do „Słowa Polskiego“), tymczasem wiadomo mu, że Kasprowicz pracował stale z nim i ze mną w „Głosie“ od r. 1889, a w monografji swojej dowodnie wskazałem, że zdaleka, bo ze Śląska, jako student jeszcze, łączył swoją akcję narodową z naszą w Warszawie. Studjum swoje o Kasprowiczu napisałem dopiero w r. 1904, więc nie ono było początkiem zbliżenia. Że Kasprowicz nie był politykiem [1]), to wiadomo; polityków w stronnictwie bywa kilku i to wystarczy.

Zdawaćby się mogło, że moje świadectwo w sprawie przynależności Kasprowicza do grupy politycznej, było wystarczające, ile że popierałem je faktami. Od r. 1889 do końca życia grupa nasza była z nim stale w kontakcie duchowym. Należałem z nim do jednej organizacji stronnictwa, jeszcze dawniej do Ligi Narodowej i mam prawo w tej sprawie świadczyć. Gdyby nie jakiś strach Kołaczkowskiego, że zgubi przez to Kasprowicza w opinji literackiej, chętnie dałby mi wiarę, a jednak zrobił mi gruby despekt, odwołując się odemnie, jako świadka podejrzanego do... Leopolda Staffa, bo ten jest niepodejrzanym o politykę narodową członkiem honorowym P. E. N. - klubu. W życiorysie Kasprowicza, zamieszczonym na końcu t. XXII „Dzieł“ Kasprowicza (1930) pisze:

„W r. 1902 przechodzi Kasprowicz do „Słowa Polskiego“. Przejścia tego, spowodowanego lepszemi warunkami, jakie w piśmie tem poecie zaofiarowano (jaka insynuacja! — Prz. mój), nie należy uważać jako symptom zmiany przekonań politycznych. W tych zachowywał poeta zawsze niezawisłość myśli i trzeźwość sądu (w czemże był sprzeczny z naszą grupą? A grupa chorowała na nietrzeźwość sądu? — Prz. mój); irytowały go zawsze mocno zakusy (!) i próby aneksji na męża partji i nadużywanie (?!) jego nazwiska, jako sztandarowego. Możemy, co się tyczy tej kwestji, ufać świadectwu tak wiarogodnemu, jak Leopolda Staffa. Kasprowicz był zawsze radykałem, nieustępliwym bojownikiem praw narodowych i demokratycznych, obce mu były kompromisy(?) i wybiegi (?) partyjne, jak racjonalizm, a wstrętną i nienawistną ugodowość we wszelkiej formie“ i t. d. (str. 227).

Sens tego jest taki: Kasprowicz nie mógł należeć do stronnictwa demokratyczno-narodowego, bo był „nieustępliwym bojownikiem praw narodowych i demokratycznych“ i „nienawistna mu była ugodowość“. Z tego wynika, że stronnictwo rzeczone nie było bojownikiem praw narodowych i demokratycznych i szło w polityce na ugodę, oczywiście o niepodległości ani zjednoczeniu nie myślało, jeno o wybiegach i kompromisach. W jaki sposób doszło pomimo to do tych rezultatów, że, wbrew obozowi lewicowemu, do zwycięstwa naród doprowadziło i dało mu i zjednoczenie i niepodległość w rozmiarach, o jakich obóz lewicowy nie marzył, — o tem Kołaczkowski w r. 1930 jeszcze nie wie. I nie będzie starał się wiedzieć, bo to wszystko jedno; sprawa narodowa jest polem „licencji poetyckiej“; stosunek do niej poety jest obojętny. Dość wiedzieć, że poeta był „radykałem“, więc „racjonalizm“ (rozsądek) w sprawach narodowych był mu nienawistny.

Że też w Polsce koniecznie trzeba być niepoczytalnym w rzeczach polityki, aby być czczonym. Toby właśnie dodało wielkości Kasprowiczowi, gdyby udało się dowieść, że nie miał w sobie szkoły wielkopolskiej rozsądnego myślenia o sprawach bytu, i że organicznie nie był zdolny do odpowiedzialności za to, co się z narodem dzieje.

Żeby taki wyrok historji mógł zapaść, sędzia szuka rzeczoznawców i wybiera L. Staffa. Krytyk wie, kto był Kasprowicz: od młodości, gdy odsiadywał więzienie za robotę narodową, aż do wojny, kiedy się przeciwstawia orjentacji niemiecko-austrjackiej — wie o tem z pism jego, jeśli nie wierzy świadkom. Powołuje się na orzeczenie Staffa, który nigdy ze sprawami i zagadnieniami politycznemi się nie stykał i nawet nie wiem, czy potrafiłby myśli swoje w tym zakresie formułować. O tem krytyk również wiedzieć powinien z dzieł Staffa.

Staff w najlepszej wierze mógł przypisywać Kasprowiczowi swoją postawę wobec życia, skoro w rzeczach sztuki i wogóle w obcowaniu towarzyskiem dobrze im było z sobą. Poeci nie gadają z sobą o polityce, a kto z poetami wogóle ma ochotę rozstrząsać sprawy polityczne! Kasprowicza nie trzeba było spowiadać z polityki, nie lubił i nie bardzo umiał mówić o polityce, ale nie chodzi o słowa: dają mu świadectwo fakty życia, a przedewszystkiem jego pisma. Kasprowicza wyczuwało się przez skórę, jako gatunek; wypowiadał się przez niego instynkt historyczny ludu polskiego, harmonijnie zestrojony z inteligencją człowieka wyższej cywilizacji. Kasprowicza uważać należy raczej za inspiratora programu demokratyczno-narodowego, nie za niewolnika tego kierunku. Kasprowicz był jak medjum, z którego się poznawało to, co się nazywa duchem narodowym. Staff tego wyczucia mieć nie mógł. W każdym razie jego informacja, żeśmy kupili Kasprowicza dla „Słowa Polskiego“, nie odpowiada prawdzie i ubliża pamięci poety. Kasprowicz był wielki pan a w naszej sferze dla pieniędzy nikt nie sprzeniewierzał się swym przekonaniom.

ZYGMUNT WASILEWSKI

[1]) To znaczy działaczem politycznym, ale nie znaczy, żeby nie miał zmysłu politycznego. Przypominam choćby mowę jego z r. 1915, ogłoszoną w całości w nr. 22 „Myśli Narodowej“ z r. b.

O POLSKĄ SZKOŁĘ PRYWATNĄ

JEDNĄ ze spraw, która obecnie sfery sanacyjne szczególnie żywo zajmuje, jest sprawa szkolnictwa prywatnego, które w Polsce z różnych powodów bujnie się rozwinęło. Pomijamy tu w chwili obecnej szkolnictwo niepolskie, nie mające zdrowych podstaw istnienia, bo opierające swój byt na subwencjach zzewnątrz. Ale szkolnictwo prywatne polskie rozwinęło się głównie z dwóch powodów: 1) z powodu braku szkół polskich w b. Kongresówce (stąd powstały najwspanialsze i do dziś dnia najbogatsze szkoły, jak gimnazjum im. Zamoyskiego, Wojciecha Górskiego, Ziemi Mazowieckiej, Ziemi Lubelskiej, im. Reja, Zgromadzenia Kupców w Warszawie i w Łodzi i szereg szkół już upaństwowionych lub ofiarowanych państwu polskiemu przez różne zrzeszenia społeczne) oraz 2) z powodu braku państwowych szkół żeńskich w dwóch innych zaborach. Ten drugi powód wywołał powstanie mnóstwa gimnazjów, a zwłaszcza seminarjów żeńskich prywatnych, samorządowych i zakonnych w Małopolsce oraz wielu szkół komunalnych w b. zaborze pruskim. Dużą rolę odgrywa u nas wogóle szkolnictwo zakonne, zwłaszcza szkoły męskie jezuitów i pijarów oraz żeńskie urszulanek, niepokalanek i nazaretanek.

Jaką potęgą jest w Polsce średnie szkolnictwo prywatne, wynika z cyfr statystycznych, według których na niespełna 800 gimnazjów w Polsce jest zaledwie niespełna 300 państwowych, a przeszło 500 prywatnych. O ile chodzi o szkolnictwo prywatne polskie, to potężny jego rozwój należy uznać za objaw zdrowy i radosny. Nie tylko dlatego, że szkolnictwo to odciąża budżet państwowy, pazwalając państwu oszczędzać duże sumy dzięki zaufaniu społeczeństwa do szkół prywatnych, ale dlatego także, że niezależne szkolnictwo prywatne jest podatnym gruntem do rozwoju nowych prądów pedagogicznych, zasilających polskie idee wychowawcze.

Nie można wprawdzie powiedzieć, żeby szkolnictwo prywatne zbyt obficie korzystało z tej — teoretycznej niekiedy — swobody. Naogół bowiem szkoły prywatne dość lękliwie trzymały się szablonu programów państwowych, bojąc się ryzykować ewentualnej utraty uprawnień. Były i są jednak i pod tym względem chlubne wyjątki, jak n. p. gimnazjum fundacyjne w Rydzynie i kilka wielkich szkół warszawskich. Jest również faktem, że wiele prowincjonalnych szkół prywatnych pędzi nad wyraz marną egzystencję, a potrzebę ich istnienia możnaby słusznie zakwestjonować. Ale jest też bardzo wiele szkół prywatnych, w których warunki kształcenia się młodzieży i pod względem budynków, i zaopatrzenia szkoły, i nawet pod względem kwalifikacyj personelu nauczycielskiego zostawiają daleko w tyle przeciętną szkołę państwową. Kilka szkół prywatnych zdobyło się n. p. w ostatnich czasach na zakup tak zw. osiedli wiejskich, gdzie młodzież w ciągu roku szkolnego spędza całe tygodnie na nauce i zabawie pod kierunkiem wytrawnych nauczycieli, zdala od gwaru wielkomiejskiego. Wychowanie młodzieży otoczone jest w szkołach prywatnych daleko czujniejszą opieką, niż w szkołach państwowych, a nauczyciele są za swe czynności wychowawcze osobno wynagradzani, co zniesiono w szkołach państwowych jeszcze w r. 1926. Zwłaszcza w ostatnich miesiącach, w dobie bardzo daleko idących ograniczeń, które dotknęły szkolnictwo państwowe, stosunkowa wartość szkolnictwa prywatnego i jego znaczenie dla państwa wzrosły niesłychanie.

I oto właśnie w tych czasach sfery sanacyjne otaczają polskie szkolnictwo prywatne całym łańcuchem szykan, zmierzających najwidoczniej do całkowitego zniszczenia jego samodzielności i zdążających do stworzenia ze szkół prywatnych czegoś w rodzaju filij szkół państwowych, utrzymywanych z kieszeni koncensjonarjuszy i rodziców dzieci, a pozbawionych oczywiście tych rozlicznych przywilejów, które dają szkoły państwowe.

Zaczęło się to od rozlicznych szykan tak zw. „imieninowych". Szkoły prywatne narówni, a niekiedy bardziej jeszcze niż szkoły państwowe zmuszano w wielu okręgach szkolnych do organizowania hołdów, do napędzania pieniędzy w kieszenie przedsiębiorców pocztówkowych, do adresów, laurek, śpiewów, deklamacyj i t. d. Chodziło już nie tylko o „łamanie" odmiennie myślącej młodzieży i nauczycielstwa, ale poprostu o przyłapywanie szkół rzekomo „podejrzanych" na jakichkolwiek aktach oporu czy opieszałości wobec nakazanych uroczystości, po to by opór ten czy tę opieszałość wyzyskać jako okoliczność obciążającą przy nadawaniu praw szkole. Ten system nadzoru, stosowany nie tylko przy pomocy delegowanych wizytatorów, ale przy pomocy zbierania wszelkich babskich i dziecinnych plotek, zastosowany zwłaszcza w Okręgu Warszawskim, był czemś tak niesłychanem, że wzbudził powszechne oburzenie nawet w sferach sanacyjnych, okólnik zaś, zmuszający młodzież do hołdów pocztówkowych, został publicznie ostro napiętnowany przez jednego z wybitnych pułkowników (coprawda — poniewczasie) i został też ostatecznie częściowo odwołany, coprawda w przeddzień „uroczystości", w chwili gdy wszystkie pocztówki—zgodnie z terminem wskazanym w okólniku — były już dawno w urzędach pocztowych. W ten sposób zrobiono gest w kierunku uspokojenia opinji publicznej, bez uszczerbku dla liczby pocztówek i dla celów rejestracyjno - politycznych.

Mniej więcej od owej daty marcowej aż do końca czerwca r. b. zaczął się dla szkół średnich okres trwożnego wyczekiwania na „prawa". Na terenie Warszawy odbywało się to w atmosferze najfantastyczniejszych plotek i pogłosek, wśród ogromnego zdenerwowania rodziców oraz wśród wytężonych zabiegów rozmaitych życzliwych osób, pragnących ratować prawa szkoły, do której chodzą ich dzieci oraz wartość świadectw szkolnych własnych dzieci. Ta walka zakulisowa o prawa różnych szkół, te interwencje różnych pułkowników i generałów, te gwarancje „prawomyślności", wystawiane przez różne wysoko ustosunkowane damy — wszystko to składa się na obrazek rodzajowy, niezmiernie charakterystyczny dla obecnych stosunków w szkolnictwie.

Wreszcie nadchodzi koniec czerwca, ukazuje się „Dziennik Urzędowy" z wykazem szkół prywatnych, które uzyskały uprawnienia. W rezultacie w samym tylko Okręgu Warszawskim obniżono kategorję kilkunastu szkołom prywatnym (kilku z nich wybitnie tendencyjnie), a prawie wszystkie, jeśli nie wszystkie wogóle z tych szkół otrzymały

zawiadomienie, że dzieje się to przedewszystkiem z powodu „braku aktywności w dziedzinie wychowania państwowego“. Pomijam, że wśród poszkodowanych znajdują się szkoły, których właściciele „wychodzili z siebie“, żeby w obronie swych uprawnień zadowolić wszelkie wymagania w nieokreślonej zgoła dziedzinie „wychowania państwowego“; ale na gorzką ironję wygląda stanowisko władz szkolnych, gdy się wie, że taka n. p. Szkoła Ziemi Mazowieckiej otrzymała tylko niepełne prawa z „powodu braku aktywności w wychowaniu państwowem“, a równocześnie pełne prawa otrzymały takie gimnazja, jak Frydy Mirlasowej i Tow. „Chiruch“ w Warszawie, Dawida Druskina w Białymstoku, dra Loewina w Brodach, Ukr. Instytutu dla dziewcząt w Przemyślu i t. p. Więc ten polski dyrektor i ta polska rada pedagogiczna powinny się zwrócić do Dawida Druskina o wskazówki, jak ostatecznie ukształtować „wychowanie państwowe“, żeby zadowolić ministerstwo oświaty?!

Nie sam tedy fakt odebrania czy obniżenia praw szeregowi poważnych szkół polskich, ale co najmniej dziwna motywacja tych represyj wywołała powszechne zdziwienie i oburzenie w sferach rodzicielskich.

Jednem z ogniw w łańcuchu szykan przeciwko szkolnictwu prywatnemu jest też sprawa zatwierdzania dyrektorów. Ilekroć dyrektor szkoły prywatnej nie podoba się staroście miejscowemu, tylekroć Kuratorjum odmawia mu zatwierdzenia bez podania powodów, a potem tak długo (znów bez podania powodów) odmawia zatwierdzenia wszystkim innym z kolei kandydatom właściciela szkoły, póki wreszcie właściciel nie pójdzie do głowy po rozum i nie zaproponuje kandydata, na którym Kuratorowi specjalnie zależy. Ten tryb postępowania jest najzupełniej bezprawny, jak to wykazały już kilkakrotnie wyroki Najwyższego Trybunału Administracyjnego, ale władze szkolne, w trosce o tak zw. „wychowanie państwowe“, zaprzestały już dawno troszczyć się o zwyczajne, szare przepisy prawne. Cóż wyrok Najwyższego Trybunału? Zapada najwcześniej w dwa lata po wniesieniu skargi. A tymczasem sprawa uzyskania danej dyrektury dla kandydata wówczas niezatwierdzonego staje się już zgoła nieaktualna. Narazie zaś szkoła prywatna na jakieś dwa lata zostaje pod opieką sanacyjnego dyrektora, który ma zapewnioną protekcję bez względu na wyniki pracy. Można więc śmiało brnąć dalej w bezprawiu, a wyrokami N. T. A. tapetować pokoje sanacyjnych prawników.

Proceder ten, oglądany od strony szkoły prywatnej, jest bezprawiem, jest odbieraniem resztek samodzielności szkole prywatnej, jest wreszcie dotkliwem obniżaniem jej poziomu, gdyż przy wyborze dyrektora decydują u władz przedewszystkiem momenty polityczne. Ten sam zaś proceder, oglądany od strony — ludzi, jest poniewieraniem często najzasłużeńszych pracowników oświatowych, którzy dziś niejednokrotnie tułają się od miasta do miasta, narażając na nędzę swoich najbliższych i z goryczą uświadamiają sobie, że nie wolno im pracować dla Polski nawet w szkole prywatnej, tylko dlatego, że ich przekonania polityczne nie podobają się temu lub owemu panu kuratorowi lub panu staroście. Ostatnio znamy wypadek, że taką ekskomuniką dotknięty został znakomity pedagog, piastujący doniedawna wybitne stanowisko w szkolnictwie państwowem, były oficer legjonowy, posiadający wszelkie możliwe odznaczenia za waleczność. Ten człowiek jednak też się widać nie zna na „wychowaniu państwowem“, którego zasad zresztą żadne dotąd zarządzenie władz nie ustaliło.

Rozpisaliśmy się tu o aktualnych sprawach może szerzej, niż jest to praktykowane w tygodniku, poruszającym zazwyczaj problemy, wyrastające ponad codzienność. Ale właśnie zdaje nam się, że ten problem — wyrasta znacznie ponad aktualność chwili bieżącej. Kto nie zdaje sobie sprawy, w jak nienormalnych warunkach rozwija się dzisiejsze szkolnictwo, ten nie rozumie również, jaka bezwzględna, nie licząca się z niczem ręka zawisła nad głowami uczącej się młodzieży; ten nie odczuwa grozy niebezpieczeństwa złamania charakteru, w jakiej znajduje się dzisiaj młodzież nasza, oddawana nawet do szkół prywatnych.

Wzorem dla niektórych pedagogów jest dziś Bolszewja i są Włochy faszystowskie, gdzie rząd zdołał jakoby ujarzmić młodzież i wychować ją w duchu reprezentowanych przezeń idej. Ale jakąż ideę daje tej młodzieży „sanacja“? Czy wystarczy uwielbienie dla jednostki, której każde odezwanie się najskuteczniej rozbija aureolę dokoła własnej głowy? Czy może skutecznie mówić o wychowaniu państwowem ktoś, kto sam — nie szanuje prawa?

Klątwa przeszłości, brak idei i kult bezprawia — oto główne przyczyny dotychczasowych niepowodzeń „sanacji“ wobec młodzieży. A niepowodzenia te są dla niej wiecznie dręczącą troską o przyszłość. I jeżeli „sanacja“ lubi, za Hertzem, porównywać młodzież do „młodego lasu“, to niewątpliwie najtragiczniejszem dla niej widmem przyszłości jest widmo macbethowskiego — lasu z Dunsinan.

W. JAWORSKI

NAUKA I LITERATURA

LATA SZKOLNE KASPROWICZA

PANI Wanda Brzeska wielce się zasłużyła, wynajdując cenne materjały do dziejów lat młodzieńczych Kasprowicza i tak umiejętnie je publikując [1]). Odkrycia jej są bardzo interesujące i ważne, dotyczą bowiem pierwocin poetyckich. Dwa klejnoty składają się na cenę książki: rękopiśmienny pierwszy zbiór poezyj Kasprowicza z r. 1879 i pamiętnik jego kolegi szkolnego, Józefa Ulatowskiego, człowieka wprost opatrznościowego. Nietylko uratował od zagłady autograf poety, lecz w dodatku opisał szczegóły, w jakich okolicznościach młodzieniec tworzył.

W uratowanym przez Ulatowskiego zbiorku znajduje się ogółem 56 utworów, z tych trzy pisane po niemiecku na użytek szkolny. Jest zbiór wcześniejszy od wszystkich innych, jakie dotąd były znane i zostały zużytkowane w zbiorowych wydaniach pism poety, dokonanych przez Bernackiego (1910) i Kołaczkowskiego (1930). Wśród tych poezyj 15 było dotąd nieznanych zupełnie, szereg innych ogłoszono z odpisów urywkami. Pani Brzeska opisuje zeszyt w ten sposób:

> „Autograf jest to mały zeszycik bez okładki... z 54 kartek, pożółkłych i miejscami zniszczonych przez wilgoć. Kartki podarte na czworo“...

Pamiętnik J. Ulatowskiego wyjaśnia tajemnicę tego okaleczenia zeszytu.

---

[1]) Dr. Wanda Brzeska. „Lata szkolne Jana Kasprowicza“. Inowrocław 1872—1879, (Poznań 1931, druk. Rolnicza. Bibljoteka Studwudziestu, t. XIII. Str. 127).

Ze wspomnień tych dowiadujemy się, że Kasprowicz zaczął pisać wiersze w r. 1877 (w 17 roku życia). Profesor języka polskiego (wykład nieobowiązkowy) dr. Czaplicki, o którym wiemy z życiorysów, że był bardzo życzliwy Kasprowiczowi, widział w tem poetyzowaniu młodzieńca coś niemal tragicznego, jakby patrzył na ikarowy jego los. — Nie lataj! — powtarzał. W r. 1879 (był to dla Kasprowicza koniec sekundy wyższej i początek prymy niższej — dzisiejsza klasa VI i VII) Czaplicki zadał uczniom wypracowanie na temat „Jakie myśli powstają w nas na cmentarzu“. Na naukę polskiego uczęszczali pilnie i wypracowania pisali z całą ambicją członkowie tajnego kółka literackiego im. W. Pola. Kasprowicz napisał swoją rzecz wierszem. Kiedy potem nastąpiła chwila zwracania wypracowań, Kasprowicz bardzo się zaniepokoił, że profesor nie oddał mu poematu. Prof. Czaplicki zainterpelowany:

„...przybrał postawę zamyśloną, pochylił głęboko głowę, stojąc długą chwilę na katedrze, wzniósł nareszcie głowę w górę i bez słowa żadnego zeszedłszy z katedry, zbliżył się do Kasprowicza i położył przed nim otrzymane wiersze w głębokiem milczeniu. Wywarło to na wszystkich wielkie wrażenie, a niemniej na Kasprowicza. Na nasze zapytanie i niepokój Kasprowicza, co to ma znaczyć, odrzekł powoli profesor z pewnym smutkiem:

— Tak, tak —lataj tak dalej. Lepiej trzymaj się ziemi, ażebyś nie spadł i nie rozbił się“.

Przytoczyłem umyślnie tę scenę, bo to był moment decydujący w życiu Kasprowicza. To były narodziny poety. W obliczu młodych kolegów, którzy czuli przez skórę dreszcze, że dzieje się jakaś tajemnica w świecie ducha. I ten smutny Czaplicki, który tę chwilę rozumiał! Jakież to piękne w swej dramatyczności!

Ale dlaczego zeszyt był podarty? Otóż Czaplicki nie dał za wygraną. Doszło do poufnej konferencji ucznia ze starym profesorem. Odbyła się w mieszkaniu Czaplickiego. Profesor zwyciężył.

Było to w listopadzie 1879 r. późnym wieczorem. Do Ulatowskiego wpadło paru kolegów, wzywając go, aby biegł do Kasprowicza „bo tam dzieją się dziwne rzeczy“. Ulatowski zastał u Kasprowicza kolegów z kółka literackiego, bardzo podnieconych—„Kasprowicz umarł!“—oznajmił o sobie poeta.

Na stole paliła się świeczka, a przed nią leżał stos papieru.

— „Przypatrz się bliżej. To jest nagrobek Kasprowicza — rzekł Kasprowicz wzruszony“.

Miał to spalić, a był tam i ów zeszyt przedarty na czworo. Ulatowski zaprotestował, prosił, aby mógł to wziąć na przechowanie.

— „Weźmij i usuń to z przed oczu moich i rób z tem, co zechcesz“ — odrzekł poeta.

Oto pochodzenie poklejonego zbiorku, który wydała p. Brzeska.

Nieocenioną wartość mają informacje Ulatowskiego; na ich podstawie odtworzyć teraz można lata szkolne Kasprowicza z całą dokładnością, jeśli się doda i to, co p. Brzeska wydobyła od ludzi, pamiętających te czasy. Opowiadania pani Olimpji z Drwęskich Bogajskiej z Poznania rzucają na tę przeszłość inowrocławską piękne, jak kwiat, wspomnienia o pierwszej chłopięcej miłości poety. A dodać trzeba, że p. Ulatowski zachował oprócz rękopisu pierwszą fotografję „Kaspra“, zrobioną gdzieś w budzie ulicznej za 60 fenigów. Typ wiejskiego chłopca, ubranego odświętnie. Toporem ciosany, sztywno ustawiony, wydaje się obciążony butami i rękami zakłopotanemi. Gęsta czupryna zdobi piękną głowę, a mądre oczy z powagą patrzą w misterjum fotografa. Czy się spodziewały, że bedziemy się dzisiaj w nie wpatrywali? Chciał wówczas zniszczyć ten wizerunek, tak mu się nie podobał; nie mógł patrzeć na siebie objektywnie. Paliło się w nim zarzewie wielkiej indywidualności. Ulatowski wspomina o Kasprowiczu, że nie bardzo był przystępny. Dziki był? Nie, raczej—dumny. I to jest charakterystyczne. Szlacheckie dzieci wyczuwały dumę w tym surowym napozór chłopcu wiejskim, ubiegały się o stosunki z nim tak, że stawał się centrum ich kółka.

Wynosiło go nad innych wewnętrzne samopoczucie, że jest poetą. Któż wierszy nie pisał? P. Brzeska reprodukuje ocalone resztki „miesięcznika“, który chłopcy wydawali w rękopisie. Jest tam wiele wierszy, ale tak dziecinnych, że z zestawienia ich z tem, co pisał współcześnie Kasprowicz, widzimy dopiero, co go nad innych wynosiło. Koledzy nie zawsze to widzieli, więc zdarzyło się—opowiada Ulatowski— że kiedyś, gdy padło pod adresem Kaspra pogardliwe słówko: „wierszokleta“, młodzieniec przeboleć tego nie mógł. Znajdujemy w zbiorku wiersz z tego powodu napisany: „Improwizacja“.

Kto za pieśń pragnie ziemskiego myta:
Sławy lub złota;
Komu obcą cnota;
Kto sławi miłość w pochlebnem słowie;
Kto, jak samolub, żyje dla siebie,
Nie wie o wyższym świecie, o niebie:
To wierszokleta!
Ja — poeta...

Oto ówczesny program duszy młodocianego poety. A gdy wczytamy się w świadectwa pamiętnika i w same utwory jego pod kątem jego życiowych dążeń i uniesień, to wydobędzie się ku nam z głębi czasu (jak dzięki fotografji zdarzyło się z kształtem zewnętrznym) zarys duszy pełnej, żywotnej i roztwierającej się ku społeczeństwu. Tak kwiat otwiera się do słońca.

Takie w młodym wieku garnięcie się do ludzi, pałanie miłością do narodu i do ludu, czemże jest dla płonki ludzkiej, jak nie szukaniem odżywienia. Dusza która chce być twórczą, idzie za instynktem do duszy zbiorowej, która jest dawcą życia indywidualnego. Na to, żeby być wielkim twórcą — wielkim samotnikiem, trzeba wprzód przeżyć z ludźmi wielką miłość.

Z. W.

RUCH WYDAWNICZY

Komedję Adolfa Nowaczyńskiego „O żonach złych i dobrych“, wystawioną w minionym sezonie w Teatrze Narodowym w Warszawie i i w Teatrze Polskim w Poznaniu, wydała Księgarnia F. Hoesicka. Utwór ten, od wystawionego na scenie, w wydaniu książkowem różni się rozmiarami. Bujność stylu i skłonność do dygresyj powodują, że tekst sztuk Nowaczyńskiego bywa przez reżyserów skracany do zwyczajowej rozpiętości teatralnego wieczoru. Podobnie uległy skrótom dramaty Nowaczyńskiego „Dymitr Samozwaniec“, „Smocze gniazdo“, słynny „Fryderyk Wielki“, komedje „Cyganerja warszawska“ i „Wiosna Narodów“. W komedji „Wojna wojnie“ poszły zmiany w kierunku wysunięcia na pierwszy plan przed treścią ideową motywów muzycznych i baletowych, po części z konieczności, ze względów cenzuralnych, bo wydrukowana przedtem na szpaltach „Myśli narodowej“, „parabaza“ komedji „Wojna wojnie“, jej *credo* i ozdoba, uległa, wraz z numerem „Myśli“ konfiskacie. O ile skróty mogły przyczynić się do uzyskania zwartości tekstu i bardziej wyrazistych konturów scenicznej plastyki, lektura tych teatralnych utworów daje czytelnikowi znacznie pełniejsze wrażenie. „Ma krytyk rację, że błędem moim są dygresje“ a pisał Byron w „Don Juanie“. W komedji „O żonach złych i dobrych“ jest mnóstwo, skreślonych dla sceny ołówkiem reżysera, niejako dłużyzn djalogu, ale zawsze jakże oryginalnych powiedzeń, dowcipnych aforyzmów, paradoksów i kuglarstwa. Autor dramatów i obrazów historycznych znalazł się w tej komedji współczesnej, wiejskiej, na terenie nowym, co nastawiło i wyczuliło jego spostrzegawczość bardziej wnikliwie i bezpośrednio, niż kiedykolwiek. Wydrwienie snobizmu kobiety modnej w przeciwstawieniu do świeżości liryzmu zakochanej pary dzieciaków. Pustka towarzyskich konwenansów w antytezie do namiętnej pasji dwóch żywiołowych typów, uczonego manjaka i partykularnego, swego chowu, ideowca. To ogólny, satyryczny zarys tej rodzimej „Komedji ludzkiej“,

której obecnie wydanie książkowe dodaje, nieujawnione na scenie teatrów, nowe artystyczne wartości. (A. W.)

*

Nakładem Zakładu Narodowego Imienia Ossolińskich we Lwowie wydanem zostało studjum historyczne Henryka Wereszyckiego „Austrja a powstanie styczniowe", str. 310. Po wielkiej wojnie powstała dla historyków polskich możność dostępu do tajnych archiwów ministerstw spraw zagranicznych austrjackich i rosyjskich. Gdy poprzednio akty takie, korespondencje cara rosyjskiego, cesarza austrjackiego i króla pruskiego, relacje posłów upełnomocnionych przy dworach, protokuły posiedzeń rad ministrów, projekty załatwiania sporów na drodze pokoju czy wojny były ujawniane po stu latach od daty sporządzenia tych aktów, te już teraz mogą być w najdrobniejszych szczegółach badane i ogłaszane. Z konfrontacji oficjalnych oświadczeń rządów zaborczych i z ich pism tajnych ukazuje się w tym kręgu sprzecznych interesów obfity plon dyplomatycznych kłamstw, intryg i politycznych szantaży. Gra odbywa się na szerokiem tle zainteresowań niemal wszystkich państw ówczesnej Europy, zaś głównym motywem w tym targu o polską skórę jest chwiejna i tajemnicza polityka Napoleona III-go. Sylwety psychologiczne Napoleona III-go, cesarza austrjackiego i cara, różnych ministrów i dyplomatów, między nimi Metternicha i Bismarcka, przedstawione są przenikliwie, w sposób rzeczowy, z pomocą cytat z własnej ich korespondencji, sprawozdań, projektów i przemówień. Sieć tych robót widać w dalekiej perspektywie od terenu walk powstańczych w Królestwie i konspiracji w Galicji. Materjałem dla opowieści o fazach powstania były dla p. Wereszyckiego artykuły czasopism polskich w Galicji, artykuły pism wiedeńskich i zagranicznych, a wreszcie, gdy rząd austrjacki zdecydował się otwarcie wystąpić przeciw powstaniu, okólniki namiestnika Galicji do władz powiatowych, instrukcje dla podjudzania chłopów przeciw intencjom powstania, represyj policyjnych i wojskowych, akty szpiegostwa, śledztw i procesów przeciw Polakom, z pośród inteligencji i ziemian, podejrzanym o czynny współudział w powstaniu lub udzielanie pomocy finansowej. Na tem tle podaje autor sporo charakterystycznych zdarzeń z nastrojów miast i wsi Królestwa i Galicji, szczegółów z życia biurokracji i z przebiegu walk różnych formacyj powstańczych. Najciekawszym rysem studjum „Austrja a powstanie styczniowe" jest bezwiedna analogja tendencyj różnych państw, choć napozór, jak Anglja nie zainteresowanych bezpośrednio, do prowadzonych w Paryżu, przed podpisaniem Traktatu Wersalskiego, konferencyj po ostatniej wojnie światowej. Rzecz napisana z ogromnym nakładem pracy, z talentem literackim, wnosi w zakres badań dziejów naszych wiele nowych i cennych wartości. (A. W.)

*

Miesięcznik „Młody Polak w Niemczech", wydawany przez Związek Polaków w Berlinie, jako dodatek do wydawnictwa „Polak w Niemczech" podtrzymuje uczucia narodowe wśród młodzieży w dawnych polskich dzielnicach, w Prusach Wschodnich, na Górnym Śląsku pod panowaniem Niemiec, i na uchodźtwie w Westfalji. Wiadomości z historycznej przeszłości Polski z ilustracjami zabytków architektury i malarstwa splata redakcja z wiadomościami z literatury i muzyki. W ten sposób lud polski, przeważnie robotniczy, oddalony od źródeł swej macierzystej kultury, zapoznaje się z jej historycznym dorobkiem. Artykuły, pisane popularnie, cechuje znajomość i umiłowanie przedmiotu.

Nr. 6 drugiego roku wydawnictwa podaje życiorys Stanisława Moniuszki, a oprócz portretu muzyka, widoku dworku Moniuszki na Litwie i wiadomości o dziełach jego i innych polskich muzyków, podaje też ze względów praktycznych dla licznych kół śpiewaczych w Niemczech, tekst i nuty moniuszkowskich pieśni. W poprzednich numerach zamieszczone były widoki z miast, Warszawy, Krakowa, Lwowa, Wilna i Poznania, i opowieści o znaczniejszych zabytkach budowlanych tych miast, a ten numer 6-sty zamieszcza widoki Torunia, wraz z tekstem informacyjnym. Godne rozpowszechnienia i u nas są wiadomości z ruchu oświatowego i sportowego różnych Kół Polskich w Niemczech, zespołów teatrów amatorskich, chórów śpiewaczych, harcerzy, sokołów i klubów piłki nożnej. Nie trzeba nadmieniać w jak trudnych odbywa się to warunkach, a praca redakcji „Polska w Niemczech" zasługuje na tem większe uznanie, że do bieżących wiadomości dodaje nowe i nieprzemijające wartości. Artykuł „Krzyże na Warmji" opowiada o charakterystycznych dla polskiej sztuki ludowej krzyżach drewnianych, rozsianych na obszarze Warmji, przeważnie w powiecie olsztyńskim i podaje podobizny tych krzyżów i jednej z średniowiecza, murowanej, z polskimi napisami, kapliczki (A. W.)

*

Interesująco przedstawia się numer 5 miesięcznika „Pamiętnik Warszawski". Otwierają go piękne wiersze Staffa. Następnie mamy początek doskonałego studjum Prof. T. Zielińskiego o „Antyku Nietzschego". Znakomity klasyk omawia w pierwszej części swego studjum stosunek Nietzschego do filologji klasycznej, jego pierwsze prace i oryginalne koncepcje rozwinięte w „Narodzinach tragedji" i „Filologji tragicznej epoki Grecji". O „literaturze niewyzwolonej żywego proletarjatu", stosunku pisarzy do kwestji proletarjackiej w Polsce, o Łodzi, jako „ojczyźnie" polskiego proletarjatu — snuje interesujące uwagi p. M. Piechal.

Osobnego omówienia wymagałaby namiętna „Mowa do Niemców" francuskiego pisarza Drieu la Rochelle. Jest to rodzaj manifestu Francuza-pacyfisty. Numer 5 tego roku uzupełniają zwykłe działy stałe oraz część trzecia „Wywłaszczenia muz" Berenta (Niemcewicz w Powstaniu). (A. J.)

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Dziennikarz amerykański H. R. Knickerbocker zwiedził Rosję i w sposób bardzo ciekawy opisał swe wrażenia w książce, która w tłumaczeniu niemieckiem nosi tytuł *„Der rote Handel droht"* (Ernest Rowohet Verlag—Berlin 1931). Rzecz tę można zalecić każdemu, kto chce nabrać pojęcia czem jest plan pięcioletni i jak wygląda jego wykonanie. (K.).

*

„Bugeaud. Le soldat. Le député. Le colonisateur". (Albin Michel édit.) praca p. Lucas-Dubreton wychodzi obecnie w zbiorze *„Ames et visages d'autrefois"*. Książkę tę czyta się jak powieść. Rzecz to zrozumiała. Życie Bugeaud, przyszłego marszałka i gubernatora generalnego Algieru, było od najmłodszych lat niezmiernie burzliwe i pełne nadzwyczajnych przygód. Najpierw jak zwykły wolontarjusz bierze on udział w bitwie pod Austerlitz, jako oficer walczy w Hiszpanji a jest pułkownikiem w chwili, kiedy cesarz abdykuje. Ofiarowuje swoje usługi kolejno Burbonom, a potem znowu Napoleonowi po powrocie z Elby. Pracuje następnie na rzecz Ludwika XVIII i Karola X. Zostaje przez Thiers'a wysłany w 1833 r. do Algieru, pertraktuje tam z Abd-el-Kaderem; w 1840 r. zostaje gubernatorem Algieru. Na ten to okres przypada nowy bunt Arabów. Bugeaud, dzięki swemu autorytetowi, odwadze i śmiałości oraz bardzo zręcznej polityce kolonjalnej uśmierza fermenty, a szanowany jest przez Arabów jako wielkoduszny emir. Tę to biografję żołnierza daje nam p. Lucas - Dubreton. Jest to barwny fresk awanturniczej egzystencji Bugeaud i jego działalności, związanej z rozwojem zamorskiego Imperjum Francji (I. B.)

*

W powieści *„Marthe Maréchal" (Nouvelle Revue Critique)* autor jej p. André-Charles Mercier przenosi nas w te nadzwyczaj malownicze okolice średniowiecznej Carcasonne, a także Tuluzy i Montauban. Tam to bowiem żyje rodzina Maréchal, złożona z rodziców, z trzech córek i syna. Powieść nosi imię Marty, gdyż ona jest główną i smutną bohaterką tej książki. Rodzina ta zostanie poważniona przez sprawy natury finansowej, które doprowadzą nawet Martę do przestępstwa, gdyż wspólnie ze swym drugim mężem spali testament ojca, krzywdząc w ten sposób swoje rodzeństwo. Ale bo Marta owdowiała, wychodzi po raz drugi za mąż i ulega zupełnie jaknajgorszemu wpływowi swego męża; ten ją potem okradnie i zdradzi. Marta i z owego majątku nie będzie miała pociechy, bo źle rządzony jest nic nie wart. Wówczas zrujnowana, nieszczęsna dziedziczka ze swej pięknej posiadłości, przenosi się najpierw do Tuluzy, a potem do marnego paryskiego hoteliku, aby skończyć swój nędzny żywot samobójstwem. Autor zapomocą całego szeregu szczegółów, w życiu rodzinnem odgrywających zawsze dużą rolę, uwypukla jeszcze bardziej ewolucję tego dramatu i umiejętnie wytwarza potrzebną do niego atmosferę. (I. B.).

OFENSYWA

MANUFAKTURA „WIDZ-EWSKA"

ERNEST Hello, znakomity pisarz i myśliciel katolicki a cytowany chętnie przez katolikożercę i massohna Józefa Wasserzuga (pseud. „Widz", „Obserwator", Wasowski) w pracy swojej o stylach pisarskich rozróżnia zasadniczo dwa style, organiczny i mechaniczny:

„Styl organiczny — to żywe słowo na usługach żywej idei. Styl mechaniczny—to układ słów, stworzony dla wyrażania martwych pojęć-formuł. Styl organiczny trafia w sam rdzeń rzeczy, przenika w żywe ich ciało. Styl mechaniczny ślizga się po ich powierzchni, rzekłbyś, że lęka się mówić, gdyż ma nieczyste sumienie. Pierwszy jest wolny, szczery, dobitny, śmiały, jest bez trwogi, gdyż jest bez zarzutu. Drugi jest lękliwy, nieokreślony, wątły i kłamliwy. Pierwszy jest nawskroś osobisty, wymaga, aby człowiek myślał i mówił, co myśli, aby wierzył szczerze, istotnie, żywo w to wszystko, co mówi. Drugi zbiera na wszystkie strony zwiędłe kwiaty, które tysiąckrotnie były już w użyciu. Składa się całkowicie ze starych szmat.

Nazywam drugi styl mechanicznym, ponieważ jest on sztucznym wytworem pierwiastków zewnętrznych. Jego bogactwo jest nędzą, gdyż jest zapożyczone, nie należy do niego, pochodzi z zewnątrz. Między obu stylami zachodzi taka różnica, jak między człowiekiem żywym i automatem. Styl organiczny ma ruchy własne, nieprzewidziane, uniesienia serdeczności i zapału samorodne, urozmaicone, jak życie, zmienia on swój wyraz, jak oblicze ludzkie, jest żywy i przenikający, jak ogień i spojrzenie. Styl mechaniczny ma wymierzone ruchy maszyny. Nie ma wdzięku, bo nie ma siły. Jest nieruchomy, a jeżeli zdaje się poruszać, ruch jego chłodniejszy jest, niżeli bezruch".

Jak widzimy z tej cytaty, to wszystko, co Hello mówi o stylu mechanicznym, da się bez minimalnej fatygi zastosować i bez reszty odnieść do stylu i ducha pisarskiego właśnie i akuratnie p. Wasserzuga-Wasowskiego. A mianowicie:

martwe pojęcia—formuły
ślizga się po powierzchni rzeczy
lęka się mówić, gdyż ma nie czyste sumienie
lękliwy, nieokreślony, wątły, kłamliwy
zbiera na wszystkie strony zwiędły kwiaty
nie ma wdzięku, bo nie ma siły
ruch jego chłodniejszy, aniżeli bezruch... *Stop!*

Ergo: styl mechaniczny, maszynowy manufaktura, odmiana przeniesionej w dziedzinę duchowości manufaktury... Widzewskiej osławionego już dziś Oskara Kohna z Łodzi. Taki sam stosunek moralny do rządu, dysponującego funduszami i protegującego lub protegowanie czasowo zawieszającego, bo funduszami już na razie nie dysponującego. *Chryzotropismus* literacki i publicystyczny, świetnie opisany przez Uptona Sinclaira a na niemieckich stosunków zilustrowany przez Bernarda v. Brentano *(Kapitalismus und die schöne Litteratur, Berlin 1931).*

Co nam tu tedy jeszcze będzie p. Wasowski imponował i nadymał się i stroszył piórka i odegrywał jakiegoś markiza Posę czy markiza Priolę? Kogo chce olśnić i co mu zależy i czy się wogóle *bluff* opłaci?

Dwa artykuły w jednym tygodniku literackim kolejno tymi czasy na kawiarnie warszawskie wypuścił, na „sukcesy" łasy i zniecierpliwiony: „Nie czas żałować róż, gdy płoną lasy"... no i o „Upadku publicystyki". Faryzeizm stuprocentowy. Kilka razy już o tym upadku pisał w różnych okresach. Zawsze zależało od okoliczności. Jest w stolicy organ zasobny judemo-liberalny, ludosłowiański, a p. Wasowski może w nim wyładowywać swe „refleksje", to niema „upadku publicystyki" w Polsce. Niema takiego organu, albo już wszystkie miejsca w loży wolnomularskiej zajęte, no to znów jest „upadek publicystyki"... „w państwie". Już się teraz nikt nie bierze na te Wasserzugowe patetyzmy i lamentacje. Taki to tam Jeremiasz z „*Qui pro Quo*". Zdemaskował się w ostatnich latach i od listopada r. 1930 kompletnie. Stoi przed nami naga dusza oportunisty, sybaryty, podstarzałego wygodnisia i deklamatora pustego, jak wzdęty pęcherz z wolich kiszek. *Commediante* jest komedjantem, jak był nim zawsze. Gdyby w nim ważyło dziesięć uncyj charakteru, takiego charakteru, jakim bądź co bądź często odznaczają się (i zwyciężają) radykalnie piszące Żydowiny Zachodu, byłby w tym okresie ostatnim właśnie wystąpił na sam skraj sceny i byłby gdzieś dzień w dzień roztaczał sztandar swego przez tyle lat roztrąbionego „humanitaryzmu". Sto razy była okazja, żeby wystąpić z artykułami: „nie mogę milczeć"...! *J'accuse!*... „Europa patrzy?" i t. p. Gdyby był z rasy odważnych i rzetelnych Sephardim, byłby choćby sprawę Liebermanna rozdął sobie do rozmiarów afery Dreyfusa. I swoim dawnym współwyznawcom byłby oddał (ze względu na nadchodzącą przyszłość) wielką przysługę i liberalizm zaliczyłby go do swoich orędowników. Ale nie. Nienawiść do Endeków, do katolików, do chłopów, do mieszczaństwa polskiego zaślepiła i oszołomiła ich wszystkich. Niech się dzieje to, co się dzieje w... Pińsku, niech będzie i Liebermann maltretowany, skoro tylko równocześnie maltretują Endeków i Piastowców, chłopów i małomieszczan i generałów katolickich i pisarzy chrześcijańskich. I p. Wasowski na ten cały okres się nam zgubił. Nie było go. Przykucnął gdzieś i przycupnął. Opowiada, że tylko dlatego... „*conspiration du silence*"... bo pojechał do Paryża. Nie. Nie pojechał do Paryża, był w Warszawie, tylko zaszył się w mysię dziurę, humanitaryzm schował do futerału i czekał. Nie czuł najmniejszej wewnętrznej potrzeby do wypowiedzenia się i do... prononsowania. Rola Zoli mu się nie uśmiechała. Dopóki Wieniawa z Tuwimem odsiadują swoje godzinki w Ziemiańskiej *lieb Judaland magst ruhig sein!* Bóg z Napoleonem, Napoleon z nami! Ani razu ten „obrońca krzywdy ludzkiej" nie wylazł ze swych Larów i Piernatów na arenę. Wolał „usunąć się w zacisze prywatne" bojownik o „nową Polskę" „zdala od jarmarku" i „zaduchu moralnego" „politycznych swarów". Smucił się oczywiście, gryzł się, cierpiał, martwił, oburzał, może i zębami zazgrzytnął, ale w czterech ścianach, prywatnie, dyskretnie, bez manifestowania swych uczuć nazewnątrz. *Indignatio non fecit versum*. Zapuścił żaluzje w swem studio *(my house is my castle)*, odgrodził się od ordynarnych walk i hałasów i jako ten drugi Skrzyński Lovelace spoczywał na kanapie, obłożonej „wytwornemi" poduszkami, czytając może Tainea może Rollanda, może Rabindranatha Tagore?.. najpewnej Trockiego. Oburzając się tak przewlekle, czekał aż... burze przejdą... „Widz" *Ousider... Schöngeist... precieuse radicale.*

A teraz p. Wasowski wyłazi już „na powietrze" i chce nam tu na nowo jakieś kazania prawić. Odpoczął, więc ma świeży tupet i czelną, prowokującą arogancję... „manufaktury Widz-ewskiej". Ci, co pracują i walczą i ponoszą walki ciężkie konsekwencje, to dla tego markiza *de Nouvaux-riches*: „intelektualna hałastra". Rybarski, Stroński, Strug, Koskowski, Siedlecki, Moszczeńska, Seyda, Wasilewski, Czapiński, Matjasik, Korfanty, , K. M. Morawski, Sikorski, Zdziechowski, Świętochowski, Limanowski etc. to wszystko intelektualna „hałastra"... duchowe manekiny, wyrobnicy, służba, hypnotyzerzy z partyjnych „kramów". On zaś, pan Wasserzug z Płocka czy też Wasowski z Wasowa, to on jest „niezależny duch", „twórczy duch", „przewodnik", „autorytet", „instancja", cierpiący dzisiaj „męki ludzi uczciwych"... „ludzi poważnych". Co więcej! On jest ponadpartyjny, on jest nadrzędny, on jest taki „Prometeista" w publicystyce, w której teraz „zapanowała ciężka monotonja i odpychająca nuda"...

Tak to się nam puszy, sapie, ważniczyni i nadyma, doszczętnie wyjałowiony, nudny, rozpróżniaczony, monotonny i przegrany, emerytowany (więc i pobierający emerytury) była „radca" M. S. Z., niechcący się naczelnictwu narażać ale równocześnie chcący nadal uchodzić za człowieka z Zachodu, humanistę, postępowca i liberała, p. Wasowski.

Niechże więc sobie jeszcze raz teraz przeczyta, co to Ernest Hello pisze o... stylu... organicznym t. j. „żywem słowie na usługach żywej idei", trafiającem „w sam rdzeń rzeczy", „wolnem, szczerem, dobitnem, śmiałem, bez trwogi", „nawskroś osobistem" a jak „ogień przenikającem"...

O ideałach zaś niech nie paple, skoro jest co najwyżej jidealistą... Manufakturą Widz-ewską. Nic więcej!

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Pan dyrektor Banku Gosp. Krajowego, gen. R. Górecki, dostał znowu wysokie odznaczenie. Tym razem za poczynione oszczędności. Mianowicie poniechał rozbiórki płotu koło gmachu bankowego, który i bez tego kosztował kilkadziesiąt miljonów. Oszczędność będzie tem większa, że wogóle Bank G. K. pozostanie w starym lokalu, który przy obecnej konjunkturze okazał się zupełnie wystarczającym. Gen. Górecki zaraportuje pewno o tem swoim zwyczajem ks. Poniatowskiemu: „Marszałku, melduję ci radośnie — robimy oszczędności".

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 612-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.